

WYZWANIE TERAŹNIEJSZOŚCI

Rekolekcje studentów
Comunione e Liberazione
RIMINI, GRUDZIEŃ 2008

Wprowadzenie Juliàn Carròn

5 grudnia, wieczór

Człowiek jest zbudowany z oczekiwania. Jeśli by każdy z nas był w tej chwili świadomy siebie, odnalazłby w sobie, jako najbardziej określające go, oczekiwanie na spełnienie, na pełnię życia, na szczęście. Ale ileż razy to oczekiwanie jest grzebane pod wieloma rzeczami, które rozprasza, rzeczami niepotrzebnymi, które wypełniają nasze życie. Dlatego pierwszy dzisiaj gest przyjaźni między nami wyraża jakiś sposób kochania, prawdziwego towarzyszenia sobie: mamy się podtrzymywać, pomagać sobie nawzajem rozpoznawać to, co jest czymś więcej, niż my sami, to oczekiwanie, ponieważ im bardziej jesteś rozproszony, a to oczekiwanie zagrzebane, tym bardziej potrzebujesz błagania, prośby, by się ono w tobie przebudziło. Nie ma zatem nic odpowiedniejszego niż rozpocząć błagając Ducha, by przebudził w nas to oczekiwanie na szczęście, spełnienie. Ktoś, kto nie pragnie szczęścia, jest w bardzo ciężkim stanie, już stoi nad grobem; im mniej palące jest to pragnienie, tym głośniejszy musimy wołać.

Zstąp Duchu Święty

Serdecznie pozdrawiam wszystkich, każdego z was, zwłaszcza gości z zagranicy.

Z jakiegokolwiek miejsca przybywamy, co jednoczy nas wszystkich? Co nas wszystkich określa? Co odczuwamy w naszym wnętrzu jako bardziej definitywne niż wszystkie zmienności, przejściowe stany życiowe, stany ducha? To, że życie jest poważną sprawą, nie jest grą, nie jest banałem, jak często każe się nam wierzyć. I widzimy to, dostrzegamy przy wielu okazjach. Właśnie śpiewaliśmy o tej powadze, którą tak często dostrzegamy z uderzającą pewnością. Jak mówi nasza przyjaciółka Sara w przysłanym do nas liście: "kilka dni temu obroniło się dwóch moich przyjaciół historyków, przesłam z nimi przez całe studia aż do dziś. Wieczorem zaplanowaliśmy świętowanie do najdrobniejszych detali: poszliśmy na kolację w niezwykle miejsce, jedliśmy pyszne rzeczy, piliśmy doskonale wino, rozmawialiśmy o tysiącu różnych rzeczy [wydawałoby się, wszystko jak trzeba]. Wciąż odczuwałam niekończony smutek, próbowałam go upchnąć w kąt, ale niezmordowanie rósł". To jest życie na serio. Możemy doświadczyć czegoś naprawdę pięknego, ale wciąż rośnie w nas ten nieskończony smutek, ten ostateczny brak satysfakcji, ten brak, pragnienie pełni, którego nie może rozwiązać żadna piękna kolacja, a które tak często próbujemy ukryć.

Jesteśmy przyjaciółmi, jeśli będąc razem patrzymy na te rzeczy; inaczej będąc razem odciągamy się od rzeczy najważniejszych, jesteśmy razem, ale wobec rzeczy najbardziej w życiu decydujących stajemy samotnie.

Ale nie jesteśmy skazani na samotne życie! Dlatego w tych dniach jesteśmy razem: by móc patrzeć na życie w całej jego powadze, bo normalnie w życiu - jak widzieliśmy w Szkole Wspólnoty - „dla wszystkich poważny jest problem pieniędzy, problem dzieci, problem mężczyzny albo kobiety, poważny jest problem zdrowia, poważne są sprawy polityczne: dla świata wszystko jest poważne oprócz życia. [...] Ale czym więcej jest życie niż zdrowie, pieniądze, relacja mężczyzny i kobiety, dzieci, praca? Czym więcej niż to wszystko jest życie? Co zakłada? Życie zakłada to wszystko, ale razem z celem wszystkiego, ze znaczeniem”¹. Dlatego pilna potrzeba życia, której w żadnym momencie nie możemy uniknąć, jest potrzebą tego znaczenia. Można przeżyć bez wielu rzeczy, ale nie można żyć bez znaczenia życia.

I pierwsza rzecz, której musimy się przyjrzeć: to uwieranie i ten smutek jest dobrem, ponieważ mówi nam, że potrzebujemy znaczenia, że nie jesteśmy psami, nie jesteśmy kamieniami, że my jesteśmy ludźmi i potrzebujemy odkryć sens życia. Niewygoda, smutek, brak, są znakiem wielkości naszego życia. Nie chcemy redukować życia do kilku aspektów, które wskazywaliśmy przed chwilą (pracy, pieniędzy, zdrowia), bo wielokrotnie zdarza się znaleźć niezwykłą, szalenie satysfakcjonującą pracę, angażującą, szanowaną przez wszystkich, albo znaleźć ukochaną, albo dostać najwyższą ocenę, albo umieć dobrze żyć ze wszystkimi, ale to nie wystarcza, jak mówi Sara. I dlatego zawsze odczuwamy jakby coś wiszącego nad nami, nawet gdy próbujemy o tym zapomnieć.

Czym jest to znaczenie? My wszyscy siedzimy tutaj poszukując większej jasności co do tego znaczenia. Kto tu jest po raz pierwszy, znalazł się tu, bo spostrzegł, spotykając kogoś z was, coś budzącego w nim ciekawość, gdy patrzył jak żyjecie i przeczuł, że może przyjeżdżając tutaj mógłby znaleźć coś decydującego dla swojego życia. Pozostali są razem już od jakiegoś czasu, ale i my czujemy tę pilność nie mniej niż ci, co są tu pierwszy raz, bo jesteśmy tacy sami. Jesteśmy wszyscy tacy sami, wszyscy pragniemy pełni i nie możemy tego z siebie wyrzeć.

I jak uczyliśmy się w Szkole Wspólnoty, chrześcijaństwo, posłuszeństwo Czemuś innemu, za czym idziemy, jest rozumne tylko w jednym przypadku: „Trzeba uświadamiać sobie, że w posłuszeństwie tkwi powodzenie życia”². My nie pozostaniemy tu zbyt długo, jeśli nie pojmimy, że tu znajduje się znaczenie, od którego zależy powodzenie życia. Uczyliśmy się, że można też pozostawać tu latami bez tej świadomości, i przez to żyć źle, bo nie można należeć do Chrystusa bez świadomości, że ta przynależność jest spełnieniem życia, że spełnia znacznie bardziej niż robienie tego, na co ma się ochotę, co się podoba albo co się wydaje. Dlatego rzuca

¹ L. Giussani, *Si può vivere così?*, Rizzoli, Milano 2007, pp. 146-147.

² *Ibidem*, p. 144.

się nam wyzwanie, by sprawdzać bezustannie to, co spotkaliśmy, bo nie wystarcza pozostawanie tu bez takiej świadomości.

„Piszę do ciebie – powiada Roberto – w bardzo dramatycznym okresie życia dla mnie i mojego otoczenia. Z czasem coraz bardziej zdaję sobie sprawę, że pełzający nihilizm świata, w którym żyjemy, przenika głęboko do życia mojego i moich przyjaciół. Bycie w CL nie chroni nas przed tym niebezpieczeństwem. Niejasność i chaos rządzące na uniwersytecie są jednym z wielu znaków tych ciemnych czasów. Wobec tego jest oczywiste, że sposób, w jaki odpowiedzieliśmy na dramatyczną sytuację ostatnich miesięcy i sposób, w jaki generalnie przeżywamy nasze życie jest znakiem odmienności, to jest znak Jego obecności. Ale pomimo tej oczywistości, ona wciąż tak jakby nie wystarczała, wciąż jest jakiś dualizm, wątpliwość, ostateczne niezdecydowanie, które nie pozwala sercu na szczęście, bo nie jest poruszone uznaniem, że On tu jest; to jest dualizm, który, z jednej strony, pozwala istnieć wierze (nawet szczerzej) w Chrystusa, ale z drugiej, jest obawa o własny bilans zysków i strat, i strach przed byciem oszukanym”. Ktoś może tu być, a w głębi duszy myśleć, że mogą go oszukać. Dlatego mu źle. “Dlatego – ciągnie – źle używa się wszystkiego: towarzystwa ruchu i rzeczywistości. Wyjaśnię to lepiej. Ostatnio tak się stało, że ofiarowałem Chrystusowi wiele sił i energii, wykonałem wiele gestów posłuszeństwa i świadczenia o Nim (w pracy z przyjaciółmi dla ulepszenia uniwersytetu jako reprezentant studentów), ale te gesty były bezużyteczne, bo w tym konkretnym momencie nie było świadomości służenia Mu i bardzo często zwyciężał brak satysfakcji, oskarżanie siebie samych albo innych, redukowanie tego, co spotkaliśmy, do ideologii, dyskursu, moralizmu, albo, co gorsza, do psychologii. A serce woła, woła głośno i nie poddaje się tej redukcji, ponieważ ma głębokie potrzeby, bo wymaga i nie może się zadowolić stanem ducha albo kaprysem tygodnia, chce, by oczywistość Chrystusa była zdecydowana, stała, określająca, by stawała się prawdziwym posłuszeństwem, cokolwiek zdarzyłoby się w naszym życiu”. Oznacza to, że wszyscy potrzebujemy weryfikacji, czy to, co spotkaliśmy, służy naszemu życiu, służy jako odpowiedź w nauce, w chorobie, w samotności, w trudnościach z tym, co mamy do zrobienia, w konieczności scalania swojego życia, by nie żyć w kawałkach.

Czy to istnieje? Taki punkt oparcia, który mógłby odpowiedzieć na tę pilną konieczność, jaką odczuwamy? Ksiądz Giussani mówi: „Istnienie jest przede wszystkim decyzją wobec tego, co uznaje się za własny fundament: i taka decyzja jest wydarzeniem, którego wciąż potrzeba. Chodzi o znalezienie *unum necessarium*, jedynej niezbędnej rzeczy, czyli tego, co uznajemy za znaczenie nas samych, i dlatego fundament wszystkiego, co robimy”³.

Jesteśmy tu, by szukać tej jedynej niezbędnej rzeczy, która może odpowiedzieć na potrzebę życia serio. Ale jest jeden warunek, by móc ją rozpoznać, gdy zdarza się na naszych

³ L. Giussani, *Alla ricerca del volto umano*, Rizzoli, Milano 1995, p. 95.

oczach: nie cenzurować dramatu, konieczności, potrzeby, jaką w sobie mamy. Bo bez tej konieczności, bez tej potrzeby, nawet jeśli widzimy to na własne oczy, nie rozpoznamy tego, nie będziemy w stanie.

Dlatego wielką łaską, o którą dziś musimy prosić, to nie cenzurowanie niczego z tej potrzeby, która nas ustanawia, tego, co w naszym życiu jeszcze nie ma swojego miejsca, potrzeby sensu, znaczenia, pełni, towarzystwa, smaku. Wydaje się, że to nic, ale zwykle sami to cenzurujemy. Fakt, że dziś wieczorem jesteśmy razem, wszyscy z taką samą świadomością, koniecznością traktowania życia serio, prawie ujmuje mi wstyd, który odczuwam często, widząc wokół siebie ludzi niepoważnych i jednego, kto wstydzi się być poważny. Tu możemy razem przezwyciężyć ten wstyd, nie potrzebujemy nic cenzurować, musimy patrzeć temu w twarz.

Jak mówi Caterina: „Było mi w tym okresie bardzo trudno, bo codzienność rzeczy do zrobienia i wciąż tych samych osób stała się monotonią nie do zniesienia, nudą. Choć zdawałam sobie sprawę z braku bodźców w podejmowaniu wszystkiego, byłam w stanie tylko gorszyć się tym, że ta bierność obejmowała też rzeczy, na których najbardziej mi zależy, relację z moim chłopakiem i studia, i czyniła je dyskusyjnymi. Wobec tej pustki, jaką przeżywałam, narodziła się znów prośba o szczęście i pełnię; to konieczność uzyskania odpowiedzi przeważała nad całym trudem i pozwoliła mi, razem z ludźmi, których mam obok siebie, pragnąć się do tego nie przyzwyczajać.

Jesteśmy razem, jako przyjaciele, by podtrzymywać się w tej prośbie, tej samej, którą Kościół zanosi w okresie Adwentu, w tym czasie oczekiwania, który rodzi się właśnie z wnętrzości potrzeby życia: przyjdź, Panie Jezu! Przyjdź w sposób tak mocny, byśmy mogli rozpoznać znaczenie życia! Byśmy w tych dniach mogli poznać Cię lepiej, nie teoretycznie, banalnie, abstrakcyjnie; byśmy mogli widzieć Twoją twarz, niedające się pomylić znaki, tak, by nasze życie mogło wypełnić się tym znaczeniem! Ale byśmy mogli Cię uznać, wzbudź w nas, Jezu, to oczekiwanie!

Adwent jest przepięknym czasem. Można by się zapytać, dlaczego, skoro już przyszedł, na Niego czekamy? Właśnie dlatego, że przyszedł, czekamy na Niego, właśnie dlatego, że nam towarzyszy możemy na Niego wspólnie patrzeć i pragnąć Go coraz bardziej. Tylko Kościół świętuje takie święto, taki czas, bo inni już na nic nie czekają! Czekamy, bo Coś spotkaliśmy, bo już Go spostrzegliśmy, Jego obecność, i dlatego bardziej pragniemy by bardziej uobecnił się w naszym życiu i zbawiał nas, czyli objawiał nam bardziej całe znaczenie. Tylu z was pisało mi, że pragną lepiej Go poznać! Ale dlaczego pragniecie Go bardziej? Bo już go spotkaliście. Dlatego Kościół pragnie coraz bardziej, woła coraz głośniejszym głosem: „Przyjdź Panie Jezu!”, właśnie dlatego, że Go spotkał, tak jak my.

1. Oczywistość fundamentu

„Abym cię widział i to jest poranek”⁴, śpiewaliśmy właśnie, bo bez Ciebie, Chryste, bez uczucia ciepła Twojej obecności, potęgi Twojej obecności, jesteśmy jak sieroty! Pilność kwestii, od której zaczynaliśmy wczoraj, jest zrozumiała: „istnienie jest przede wszystkim decyzją wobec tego, co uznaje się za własny fundament”⁵. Chodzi o znalezienie jedynej niezbędnej rzeczy, czyli tego, co uznajemy za znaczenie nas samych i wszystkiego, co robimy. Ale fundament, znaczenie, Tajemnica – jest czy go nie ma? Weźmy byka za rogi: jest, czy go nie ma?

Pisze Giacomo: „W zeszłym tygodniu rozwieszaliśmy na uniwersytecie ruchową ulotkę w sprawie Eluany Englaro. Po kilku dniach pojawiło się trochę pisemnych odpowiedzi, przyczepionych obok ulotek. Zacząłem czytać te odpowiedzi i w pewnym momencie zatrzymałem się wobec zdania kogoś, kto pisał, cytując ulotkę: «I tak sprawa Eluany stawia nas wobec pierwszej oczywistości wyłaniającej się z naszego życia: nie tworzymy siebie sami» i kontynuował: «Oczywistość? Musicie wreszcie dać spokój tym historyjkom z nazywaniem oczywistością tego, co jest tylko waszym *credo*» [rzuca nam prawdziwe wyzwanie!]. To zdanie trochę mnie przybiło i zapytałem siebie: ale dla mnie to, że jestem stworzony przez Innego, że włosy na mojej głowie są wszystkie policzone, to oczywistość czy *credo*?”.

To jest wyzwanie, przyjaciele, to już jest łaska zobaczyć jak ktoś, wobec takiego pytania, nie ucieka, ale patrzy mu w twarz. Jesteśmy razem by móc patrzeć w twarz wszystkiemu, nawet tak dogłębnemu wyzwaniu, tak decydującemu dla życia. Czy potwierdzamy Go tylko naszą wrażliwością? Opowiadamy sobie o tym, czy On jest?

W tych dniach rozmawiałem z jednym z pierwszych, którzy zaczęli w Gruppo Adulto z księdzem Giussanim o jego rozmowie z nim, gdzie stawiał mu właśnie takie pytanie: „Ale to jest twoja wrażliwość? Bo jeśli o to chodzi, to ja w to nie wchodzę!”. A ksiądz Giussani odpowiedział mu: „Nie gadaj głupot: pokazuję ci racje. To nie chodzi o wrażliwość, pokazuję ci racje!”. Jesteśmy tu, by pokazywać sobie racje i każdy musi się z nimi liczyć. Nie chodzi o wrażliwość, naszą wyobraźnię, tu są racje.

Dlatego problemem jest metoda, za pomocą której docieramy do odpowiedzi: jest czy Go nie ma? Dlatego decydujący jest punkt wyjścia. Jak pewnego dnia, wiele lat temu, odpowiadałem uczniowi, który pytał mnie o to samo, o co pytali księdza Giussaniego: „Ale

⁴ A. Mascagni, «Al mattino», in *Canti*, Cooperativa Editoriale Nuovo Mondo, Milano 2002, p. 176.

⁵ L. Giussani, *Alla ricerca del volto umano*, op. cit., p. 95.

jesteś pewien tego, co z taką pewnością opowiadasz o Bogu?”. A ja natychmiast odpowiadałem mu: „Tak, bo nie wychodzę od Boga, ale od rzeczywistości”.

Wiele razy robiliśmy ten przykład: jeśli któraś z was znalazłaby w swoim pokoju wspaniały bukiet kwiatów, natychmiast pojawiłoby się w niej pytanie: „Ale kto mi je przysłał?”. Jeśli ktoś ci mówi: „daj spokój! Co za oczywistość? Daj spokój, tylko twoje *credo* ci każe myśleć o kimś takim”, co mu powiesz? To tylko twoje *credo* czy narzucająca się obecność czegoś, co każe ci szukać na zewnątrz? Jest łatwiej wytłumaczyć bukiet kwiatów czy fakt, że teraz tutaj jesteśmy? Że jesteśmy tutaj, że ja żyję, że tu żyjesz, że w tej chwili tu jesteś. Zdać sobie z tego sprawę, to z prostotą uznać, że powiedzenie „ja jestem” z całą świadomością, z całą umiejętnością mojego rozumu, to to samo, co stwierdzić „ja jestem uczyniony”. Jeśliby bukiet kwiatów mógł być samoświadomy, musiałby powiedzieć „zostałem tu położony przez kogoś innego”. Zawsze byliśmy wychowywani i zawsze rzucani do wychodzenia od rzeczywistości, nie od rzeczywistości od nas oderwanej, bo rzeczywistość staje się przeźroczysta w doświadczeniu. Dlatego punktem wyjścia jest nasze doświadczenie. Nigdy nie wolno odrywać rozumu od doświadczenia. Dlatego próbujemy razem patrzeć na doświadczenie, tak, by doznać zderzenia, jakie w nas wywołuje rzeczywistość. Jest jasne że zdumienie wobec obecności kwiatów albo ukochanej osoby albo rzeczywistości stanowi doświadczenie prowokacji: otwierając oczy na rzeczywistość mam przed sobą coś, co stanowi prowokację do otwarcia. „Sposób, w jaki rzeczywistość się mi się przedstawia jest ponagleniem do czegoś innego. Spojrzenie na rzeczywistość nie oddziałuje na mnie jak na kliszę fotograficzną; nie «robi na mnie wrażenia» swoim obrazem i tyle. Robi wrażenie i porusza mnie. Rzeczywistość mnie ponagla, powiadam, do poszukiwania czegoś innego, poza tym, co w tej chwili mi się jawi. Rzeczywistość porywa naszą świadomość tak, że ta przeczuwa i pojmuje coś innego. Wobec morza, ziemi i nieba i wszystkich rzeczy, które się w nim poruszają, nie jestem nieruchomy, jestem ożywiony, poruszony, wzruszony tym, co widzę, i to wprawienie w ruch jest dla mnie poszukiwaniem czegoś innego. Taką reakcję mogę wyrazić pytaniem: cóż to jest (co mam przed sobą)? Dlaczego właśnie to? W takich pytaniach jest jakaś dziwna niewiadoma: świat, rzeczywistość, prowokują mnie do szukania czegoś innego, inaczej nikt nie pytałby dlaczego, nie pytałby się jak”⁶. To się staje oczywiste w chwilach decydujących. Ale uwaga, ważne jest, by rozpoznać to w doświadczeniu. Kilka tygodni temu ktoś przekazał takie świadectwo na Szkołę Wspólnoty: „Zaznaczam, że nie jestem z ruchu. Jestem przyjacielem Eluany, jednym z tych czterech słynnych przyjaciół, którzy mieli zeznawać na procesie, choć później mojego zeznania nie wysłuchano. Przez wszystkie te lata często rozmawiałem z ojcem Eluany: córka powiedziała mu w swoim czasie, że jestem bliskim przyjacielem i zawsze chciał mnie angażować w tę sprawę. Wobec czegoś takiego pierwszą reakcją, również moją – miałem dwadzieścia jeden lat, jestem rok młodszy od Eluany – była

⁶ L. Giussani, *Il senso religioso*, Rizzoli, Milano 1997, pp. 153-154.

ucieczka. Ale trzeba było wrócić do rzeczywistości, bo Beppino Englaro uporczywie mnie poszukiwał i postawił mnie wobec tej rzeczywistości. Widziałem, że Kościół i ruch zawsze podkreślały dobrą wiarę Beppino... Absolutnie tak właśnie było. Kiedy się z nim widzę, jest problem prawny, który – to jasne – wywołuje spęcie także u adwokata takiego jak ja, ponieważ obiekcja, jaką ci przedstawia to: „Słynna pani Maria z gangreną w nodze mogła odmówić uporczywej opieki, jak przewiduje Konstytucja. Eluana jest w znacznie gorszym stanie, bo nie może wyrazić swoich myśli. A jej nie wolno”, albo przynajmniej nie było wolno przed interwencją sądu kasacyjnego [...]. Ale było jeszcze coś, co postawiło mnie, i nadal stawia, wobec trudności. Często odwiedzałem Eluanę, zwłaszcza na początku. Miałem wrażenie, że rozmawiam z kimś, kto mnie nie słucha, nie słyszy mnie. Ostatnio odwiedziłem ją i mówiłem do niej, ale jednocześnie gdy mówiłem, jakaś część mnie czuła się głupia, to znaczy nie byłem przekonany, że rozmawiam z kimś, kto może mnie usłyszeć. Nie chcę tego opisywać. Przynoszę Wam tylko świadectwo kogoś, kto znał ją wcześniej, który przeżył walkę jej ojca, który konfrontował się też z innymi postawami [...], a który wobec tej rzeczy zawsze się pytał: ale czy to jest życie? Ponieważ to jest właśnie ten problem, który stawiałem sobie jako katolik, wobec rzeczy, która jest częścią mojego życia, która uderzyła we mnie w tak jasny sposób – czy to jest życie? Udało mi się jednak rozwiązać ten problem. Bo w momencie, gdy wydany został wyrok kasacyjny, dałem spokój poglądom adwokata, prawicowca czy lewicowca, katolika czy nie, i powiedziałem do siebie: ale czy ty naprawdę byś to zrobił [odłączył ją i pozwolił jej umrzeć]? I odpowiedź brzmiała: nie. Nigdy nie byłbym w stanie zrobić czegoś takiego. A zatem, może, skoro człowiek wobec siebie, patrząc na swoje serce, czuje, że nigdy nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego, to może taka forma życia, na tak minimalnym poziomie świadomości [...] jest jednak tajemnicą, jest jednak istniejącym życiem, jest tak czy owak czymś tajemniczym. A ja, jako człowiek, nigdy nie byłbym w stanie jej przerwać”⁷.

Jedno to widzieć rzeczy z zewnątrz doświadczenia, a co innego, kiedy ktoś znajduje się wobec doświadczenia, wobec tego, co go całego porywa. I tak objawia się rzeczywistość, jak zawsze uczył nas ksiądz Giussani: rzeczywistość staje się dla nas przeźroczysta nie kiedy patrzymy na nią z zewnątrz, ponieważ rzeczywistość nie jest jak klisza fotograficzna, ale mnie porywa, objawiając znaczenie. To jest znak, który pozwala czynnie wprowadzać w życie znaczenie rzeczy. Wrażliwość na pojmowanie wszystkich rzeczy jako znaków jest ugruntowaną prawdą o istocie ludzkiej.

W ostatnim okresie wszyscy prowokowani byliśmy wydarzeniami (pracą na szkole wspólnoty, sprawą Eluany, problemami uniwersyteckimi) do życia serio, jak ten przyjaciel, o którym właśnie czytałem, i uderza mnie jak właśnie przez te sprawy Tajemnica nas wychowuje. Jak to robi? Nie dając nam wykład o Tajemnicy, ale pozwalając wydarzać się

⁷ N. Brenna, «“È una vita che c’è”», in *Tracce-Litterae Communionis*, n. XXXV/11, dicembre 2008, p. 38.

rzeczom, wychowuje nas przez rzeczywistość. W tym czasie zostaliśmy uderzeni, wyzwani przez rzeczywistość na wiele sposobów, ale możemy przeżywać rzeczywistość – jak widzieliśmy – z różnymi nastawieniami, bo pomiędzy zawsze stoi wolność, nasza postawa wobec tego, co widzimy. Nikt nie jest neutralny wobec rzeczywistości, każdy zajmuje stanowisko, jest do tego zmuszony, musi przeżyć ją na taki czy inny sposób.

Opowiadała jedna z przyjaciółek, jak przeżywała sprawy szkolne. „Ja – powiada – zaczęłam ten rok szkolny z wielkim oczekiwaniem i z wielkim impetem, jak nie działo się od lat, przez to wszystko, co przeżyłam tego lata przez zdumiewające świadectwa, przez serię sprzyjających okoliczności, na które natknęłam się w szkole (miała przyjechać moja przyjaciółka, zaprzyjaźniłam się z bardzo porządnym chłopakiem, zajęcia, na które trafiłam bardzo mi się podobały). Ale po miesiącu doszło do przejęcia przez personel i okupacji mojej szkoły; nagle stałam się buntowniczką z wielkimi pretensjami do rzeczywistości, bo rzeczy szły nie tak, jak chciałam, jak nie przewidziałam. To mnie bolało, bo zdałam sobie sprawę, że resentyment wobec tego, co się dzieje, ustawił mnie jakby w pozycji politycznej, ideologicznej, a nie autentycznej. Jak wszyscy. A kiedy jesteśmy jak wszyscy, jesteśmy w mniejszości, i dlatego zepchnięci do rogu. Dramatem nie było dla mnie, że zepchnięto mnie do rogu, ale że byłam w nie moim rogu, tak, że przez dwa tygodnie było mi naprawdę ciężko chodzić do szkoły. Potem wydarzyło się kilka rzeczy. Uderzył mnie sposób, w jaki moja przyjaciółka zachowywała się w szkole, bardzo inaczej niż ja, ale przede wszystkim zrobiła na mnie wrażenie korekta, jaką dostałam na Szkole Wspólnoty. Zdałam sobie sprawę, że w tych okolicznościach jestem w pewien sposób nieposłuszna, to jest zwykła forma mojego nieposłuszeństwa wobec rzeczywistości, udawanie, że rozumiem, co się dzieje; to znaczy, ja nie mówię, jak ludzie «Jezus jest szalony!» wobec Jego żądania, ale mówię «tak tak, rozumiem», to jest udawana zgoda, udawana wiedza, która eliminuje to, co mam dane. To mnie potwornie wkurzyło”. Spytałam ją w rozmowie: „Ale gdzie jest pomyłka w tej metodzie?”. Ona na to: „Nie akceptuję, że to On mnie czyni”. Odpowiadam: „Ale jeszcze przed «Ty, który mnie czynisz», jeszcze wcześniej pomyłka tkwi w tym, że mam w nosie to, co się dzieje”. „Tak – mówi – to, jak miałam to w nosie, mnie wkurzało”. A ja dodałam jeszcze: „Nie, zanim się wkurzyłaś, miałaś w nosie to, co się przed tobą działo, złość jest konsekwencją”.

Tak, przyjaciele, wszystko zaczyna się już od pierwszego zderzenia z rzeczywistością. Dla nas bardzo często rzeczywistość nie jest czymś wprowadzającym w Tajemnicę, znaczeniem rzeczywistości, fundamentem. Często z naszej przynależności do ruchu pozostaje tylko dyskurs do przyczepienia do rzeczywistości („rozumiem”). Ale to w pewnych okolicznościach nie działa, jak widzimy w przypadku Eluany.

Kilka tygodni temu zaproszono mnie na spotkanie o szkole wspólnoty w kwestii naszej ulotki. Byłam tam razem z odpowiedzialnym za wspólnotę z Lecco, synem Gianniego, który

żyje w takiej samej sytuacji jak Eluana, praktycznie w pokoju obok. Ma tę samą chorobę, a syn zaczął nasze spotkanie szkoły wspólnoty Lecco stawiając mi pytanie: „Chciałem prosić cię o pomoc w patrzeniu, we wchodzeniu w taką sytuację”. Odpowiedziałem od razu: „Tak, to jest decydujący początkowy punkt: pozwolić się sprowokować tym, co się dzieje, bo tak możesz patrzeć na rzeczywistość aż do głębi”. Właśnie to widzimy w sprawie Eluany, jak zaraz opowiem, ponieważ negowanie tego warunku jest znakiem negowania Tajemnicy, a zatem negowania rzeczywistości. Dlatego, jaka jest wielka pokusa? Racjonalizm, redukcja znaku do tego, co się zdaje, która zdusza rzeczywistość do naszej miary. „Wielką pokusą człowieka jest wyczerpać doświadczenie znaku, rzeczy, która jest znakiem, interpretując ją tylko w jej aspekcie natychmiast postrzeganym [...]. Pewna postawa ducha mniej więcej tak działa wobec rzeczywistości świata i życia [...]: odczuwa zadany przez nią cios, wstrzymując jednak ludzką zdolność do wyruszenia na poszukiwanie znaczenia, do której bez wątpienia ponagla ludzką inteligencję sam fakt relacji z rzeczywistością”⁸, bo ludzka inteligencja nie może się zderzyć z żadną rzeczą nie pojmując, że jest ona znakiem innej rzeczywistości.

Ale odczuwamy tę pokusę bez przerwy. Jedno z was pisze do mnie: „Pomimo wszystkiego, co widzę dziejące się przed moimi oczami, zatrzymuję się”. Odczuwa uderzenie, ale powstrzymuje swoją zdolność wejścia w rzeczywistość, zatrzymuje się. My, jak wielu naszych współczesnych (bo urodziliśmy się w konkretnych warunkach historycznych), widzimy rozum jako miarę, i kiedy rzeczywistość rzuca nam wyzwanie by wyjść poza tę miarę, ustępujemy; tak samo rozum – będący tą energią przenikania, wkraczania w znaczenie – jest redukowany, amputowany, jakby oddzielany od swojego afektywnego napędu, którym jest pragnienie odkrycia prawdy. Jeślibyśmy to zaakceptowali i zrezygnowali z wnikania w znaczenie, udusilibyśmy się. Widzimy to u wielu kolegów, którzy, wydawałoby się, wybrali łatwiejszą opcję życia i nie pozwolili się ugodzić prowokacji rzeczywistości. Spójrzcie na siebie, czy wasi koledzy żyją lepiej: spójrzcie! Nie bójcie się patrzeć, popatrzcie czy ich życie, takie, jest pełniejsze!

Jak działa Tajemnica? Jak walczy przeciw tej miarce, która nas dusi, która czyni życie grobem? Jak Tajemnica się nad nami pochyla? Wychodzi nam na spotkanie przez rzeczywistość. Miałem to na myśli mówiąc o Eluanie: jeśli ktoś patrzy tylko na to, co się zdaje, jak robił nasz przyjaciel adwokat, redukuje. Ale kiedy jest zmuszony, musi uznać Tajemnicę: ta prowokacja kazała mu uznać Tajemnicę. I dlatego nie da się tego zmanipulować, nie można tego zredukować do tego, czego w tej chwili dotykam. Trzeba się zatrzymać, w sensie pozytywnym, bo inaczej to jest przemoc. Im bardziej pozwalasz się poruszyć znaczeniu, rzeczywistości takiej, jaką jest, tym bardziej zdajesz sobie sprawę, że ja – jak zawsze sobie

⁸L. Giussani, *L'uomo e il suo destino*, Marietti, Genova 1999, pp. 112-113.

mówiliśmy – jest relacją z Tajemnicą, która nie może zostać sprowadzona do jakichś uprzedzających czynników (biologicznych, psychologicznych czy socjologicznych).

Zawsze jest pokusa, by powiedzieć „Już wiemy”. Natomiast Tajemnica wciąż wychodzi poza naszą miarę i prowokuje nas. To jest walka, jaką Ona z nami prowadzi, by pozwolić nam oddychać, by nas otworzyć, otwierać nas coraz bardziej na Siebie. Jak to robi? Tajemnica objawia znaczenie pozwalając nam intensywnie przeżywać rzeczywistość. Tajemnica troszczy się o nas, żywi wobec nas taką czułość, otwierając wciąż nasze zamknięcie, naszą miarę. To jest zaciekle wojna, którą Tajemnica wydała każdemu z nas. Dlaczego? Po co wydaje wojnę? Bo nas nie kocha, czy może po prostu dlatego, że nie pozwala nam nigdy rezygnować z tego pragnienia pełni, potrzeby znaczenia, bez których się dusimy? I w tej zacieklej walce widzimy nasz opór, opieramy się dać pierwszeństwo temu, co czyni Tajemnica. Na szczęście Tajemnica nie zawiera rozejmu, nie pozwala mi wythnąć przy mojej miarce, nie pozwala mi udusić się w sobie samym i wzywa mnie. Ale wobec tego wezwania, wobec sposobu, w jaki Tajemnica, przez rzeczywistość, mnie prowokuje, rzuca wyzwanie, muszę zdecydować, jak świadczy wielu z was, jestem zmuszony decydować.

„Tytuł rekolekcji jest niewiarygodny – pisze jedno z was – jak nic innego opisuje to, co przeżyłem dramatycznie w tym roku. Po wspaniałych wakacjach mojej wspólnoty wyjechałem z kilkoma przyjaciółmi z Medycyny. Ostatecznie wakacje, tak wyczekiwane i relaksujące – myślałem. Ale nie. Właśnie tu zaczęło się to wołanie głośniejsze i trudniejsze do zrozumienia, niż zwykle, bo tato zadzwonił do mnie z Mediolanu mówiąc, że rak mamy rozwinął się i jej stan się pogorszył do tego stopnia, że trzeba było odesłać ją do szpitala. Musiałem wrócić. Wrzesień był bardzo trudny, wszystko zdawało się działać przeciwko mnie, przeciw moim nadziejom i pragnieniom. Egzaminy szły coraz gorzej, leczenie nie przynosiło efektów, tato z dnia na dzień był coraz bardziej zły, mama nie była w stanie już prawie nic robić, bo nie mogła złapać oddechu, ja nie byłem w stanie robić dobrze tego, co miałem do zrobienia. Niezwykłe było jednak widzieć nad sobą, że rzeczą tajemniczą, większą i oczywistszą w całym tym chaosie, była wola życia mamy, nawet w jej stanie, niekontrolowana żywotność, której towarzyszyło stałe, punktualne i często cierpiące „tak” wobec wszystkiego (bolesnych operacji, trudnych decyzji, złych wiadomości, krótko mówiąc, wobec życia), tak jakby była to odpowiedź na wezwanie Kogoś kto obiecał jej wszystko”.

To jest decyzja, przyjaciele: albo rzeczywistość jest przeciwko mnie, albo jest odpowiedzią na wezwanie Kogoś, kto obiecał mi wszystko. Jak świadczył nam Damiano, nasz przyjaciel, chłopak zmarły w październiku w Treviso. Jego dziewczyna pisze: „Niezwykła rzecz, która zawsze mnie uderzała u Damiano to jego świadomość, że choroba była dla niego, a nie przeciwko niemu. Przeżywał ją jak okazję do głębszego wnikania we wszystko, co było mu dane. Trudu i cierpienia było wiele. Damiano zgodził się na wszystko, co na niego przychodziło, naprawdę ofiarował wszystko”.

Czyli jeśli ktoś pozwoli się sprowokować rzeczywistości i nie wstrzymuje ludzkiej zdolności do wchodzenia w poszukiwanie znaczenia, pojmując rzeczywistość jako dobro, nie jako coś przeciw sobie, ale jako coś, co otwiera na Innego. Wielu z was doświadczyło w tym czasie jak prowokacja ze strony rzeczywistości, mogąca przekształcić się w wielką złość, staje się tym, co czyni życie pięknym.

Pisze do mnie Lorenzo: „Ostatnio wobec wszystkich dziejących się rzeczy czuję się bardzo sprowokowany [rzeczywistość nas prowokuje!], od cię w szkole aż po sprawę Eluany, gdzie, patrząc na całą ścieżkę jej życia, chciałem dowiedzieć się jeszcze więcej, to mnie interesowało, prowokowało, bo zobaczyłem, że jeśli pozwolisz się sprowokować przez sytuacje, które napotykaś, życie staje się znacznie bardziej żywe, piękniejsze. Chciałbym stać wobec rzeczy porzucając moją miarę, bo widzę, że mierzę nią wszystko. Nie wiem, czy to żądanie, pretensja, ale chcę by w każdej chwili mojego życia zdarzało się coś, co pozwala widzieć rzeczy takimi, jakimi są”.

Albo jak pisze Carlo: „Niepokoje na uniwersytecie sprowokowały w tych miesiącach wszystkich; również my i wielu innych kolegów nie pozostaliśmy nietknięci przez gwałtowność protestów. To się okazało w czasie pierwszej akcji ulotkowej, kiedy dziwny kompleks niższości pozwolił wypłynąć na wierzch naszej nie wypowiedzanej postawie. «A co my robimy? Ulotki i do widzenia? Ulotki nie zmieniają rzeczywistości». Zdumiliśmy się, że rozumiemy jak wszyscy, że myślimy, jak myśli świat, dusząc się w bronienu jednej z wielu opcji. Ale kiedy uniwersytet się polepszy, wszystko już będzie w porządku? To pytanie przywróciło mi oddech [wystarczy postawić odpowiednie pytanie, wystarczy nie pozwolić sobie ugrzęznąć w jakiejś miarce i natychmiast powraca oddech] i pozwoliło zdać sobie sprawę z inteligencji z jaką natychmiast zaczęliśmy działać, od spotkania zorganizowanego w Wielkiej Auli Uniwersytetu Państwowego z rektorem i dwoma senatorami, dwoma tysiącami uważnych studentów, w ciszy od początku do końca, w porządku, który poruszył nawet dźwiękowców [to naprawdę robi wrażenie!]. Zaczęliśmy od naszej piosenki, *L'Opera*. Oto co mnie poruszało w tych miesiącach. Nie jestem zainteresowany przede wszystkim polityką, interesuje mnie człowieczeństwo, uniwersytet, pełnia życia spotkana w ruchu, a zatem – również polityka. Śpiewać w wolności wobec rektora i profesorów było znakiem odrodzonej świadomości tego, co zdarzyło mi się z Chrystusem [to coś innego niż kompleks niższości – to nam pozwala wejść w całą rzeczywistość!]. Stąd wdzięczność, czyniąca mnie szczęśliwym i zwycięskim niezależnie od wyników. Spektakl nieznanym przez świat. Rektor skomentował: «To oczywiste, że takie gesty wykonujecie tylko wy». Profesor z Filozofii, deklarujący się jako skrajna lewica, na koniec powiedział: «Ale patrząc na to, co stało się dzisiaj, chciało by się oddać uniwersytet w wasze ręce», i dodał dla złagodzenia: «Żart, hehe!»... ale odczuł to uderzenie”. Chwilę później przychodzi cynizm człowiek się blokuje, chociażby chciał. To jest rzeczywiste, ewidentne: by wstrzymać jakieś nowe, odmienne

człowieczeństwo, które nam odpowiada, nie potrzeba wyjaśnień. Ci, ateści albo ludzie zupełnie odmiennych poglądów, są wizjonerami czy to jest, to odmienne człowieczeństwo jest? To jest wyzwanie dla naszego rozumu, to jest odmienność, której musimy dać rację: to rzeczywiste czy to nasze *credo*? Widzą to nawet ci, którzy są z przeciwnej strony, wyobraźcie sobie czy mają jakikolwiek interes w tym, by przyznać nam choć minimalną rację... „Ale to tak się narzuca, że wystarczy patrzeć. Nie potrzeba być członkiem dziwnego stowarzyszenia, by zrozumieć, co się dzieje [możemy powiedzieć: nie trzeba wyznawać jakiegoś szczególnego *credo*, by zrozumieć, co się dzieje]. Ci profesorowie, jak i wielu niedawno poznanych przyjaciół, są dowodem, że wystarczy patrzeć. Czasem to oni widzą więcej niż my. Zrozumiałem lepiej, co to znaczy, że jesteśmy bez ojczyzny. Nie poruszamy się dla idei albo wartości. Nawet jeśli czasem spotykamy się z rektorem, nie jesteśmy ludźmi rektora, jeśli z ministrem, nie jesteśmy ludźmi ministra. Naszym kryterium poruszania się w rzeczywistości nie jest partia, nie przynależymy do idei, ale do Chrystusa w życiu ruchu, to jest odpowiedniość, jakiej doznaje tylko ten, kto żyje, tylko ten, kto rzuca się w rzeczywistość. Tylko tu Chrystus nas zaskakuje, tylko w rzeczywistości, tylko w ryzyku weryfikacji w rzeczywistości”.

Albo Alberto, który pisze: „Trud i walka każdego dnia pozwalają mi dotrzeć do głębi mnie samego, tam, gdzie nie da się już oszukiwać, nie można się rozproszyć i nic nie interesuje mnie bardziej niż moje serce, огоłocone z wszystkiego, nagie wobec rzeczywistości. Nigdy nie dotarłem aż tutaj. Tak rozpocząłem pracę”. Dlatego konieczne jest to otwarcie rozumu, „konieczne jest przede wszystkim ponowne zagorzałe uczenie się słowa «rozum», które jest najbardziej niejasnym słowem w całym nowożytnym dyskursie”⁹, trzeba niezablokowanego rozumienia rozumu, rozumu w całości poruszanego afektem, bo rozum nie może działać bez tego, co nazywa się afektem, to serce jest warunkiem zdrowego działania rozumu. „Warunkiem, by rozum był rozumem, jest by poruszał go afekt – i tak poruszał całego człowieka”¹⁰.

2. Obecność atrakcyjna afektywnie

A co mogło ułatwić to zdrowe działanie rozumu, czyli by rozum był poruszony przez afekt? Trzeba, by Tajemnica stała się tak cielesna, by była obecnością tak przyciągającą uczucie by pociągnęła za sobą całe moje ja, cały mój rozum i afektywność. Bóg wszedł w życie człowieka w ludzkim kształcie, w taki sposób, by myśl i cała wyobraźnia, uczuciowość i cała fantazja zostały pociągnięte. A jak zostaliśmy przyciągnięci? Przez obecność odmiennego

⁹ *Ibidem*, p. 108.

¹⁰ *Ibidem*, p. 117.

człowieczeństwa, gdzie mogliśmy doświadczyć jedynej odpowiedniości, intensywności życia, której wcześniej nawet nie można było sobie wyobrazić.

Widzimy tu, co robi Jezus. Po co wszedł w historię przyciągając nasz rozum, całe nasze uczucie, pociągając nas całych, całe nasze ja? Czytaliśmy to na Szkole Wspólnoty, ale jeśli przez moment przeczytamy to jeszcze raz razem, będziemy mogli lepiej zrozumieć, jak on nas wychowuje. Jezus zlitował się nad ludźmi, których miał przed sobą, bo byli to ludzie zagubieni, jak owce bez pasterza, i zaczął mówić z litości nad ich potrzebą. Ale po dwóch czy trzech dniach bycia z Nim, zdaje sobie sprawę, że nie jedli, więc dokonuje rozmnożenia chleba, a ludzie są bardzo wdzięczni, do tego stopnia, „że mieli przyjść i porwać Go, aby Go obwołać królem”¹¹. Ale On się im wymknął. Bardzo to piękne, jak porusza się Jezus. Mógłby się tym zadowolić, uznali Go. Czy nie tego w gruncie rzeczy chciał? Ale Jezus nie oszukuje ich, dobrze wie, że nasycenie ich nie wystarcza, by żyć. I powiada: „Ojcowie wasi jedli mannę na pustyni i pomarli. Moje słowo jest jak manna, ale kto je spożywa, ten już więcej nie umiera [jeśli nie będziecie jedli tego chleba, moich słów, nie będziecie mogli żyć]”¹². I znów, mógłby zatrzymać się tutaj, ale wie, że i to nie wystarcza. „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie”¹³: tak rzuca wyzwanie całej mierze ich rozumu.

Dlaczego to wyzwanie było aż tak wielkie, aż do powiedzenia czegoś, co zdawało się szaleństwem? Bo ich nie kocha? Pomyślcie sami... Jezus, kiedy mówi, po co przyszedł, o pasji do przeznaczenia każdego człowieka, nie ustępuje – czytaliśmy to też w Szkole Wspólnoty – naciska, nie ustępuje, nie tonuje niezrozumiałości tego, co ma do powiedzenia. Inni, ponieważ wykroczyło to poza ich miarę, odeszli, mówiąc, że jest szalony. Ale uczniowie zostali, a nawet największym przyjaciółom z przyjaciół nie oszczędził wyzwania: (mógłby przecież się tym zadowolić: pozostali, czegoś chciał więcej?): „Czy i wy chcecie odejść?”¹⁴. To jest przyjaciel. Dlaczego ktoś, kto zadaje ci takie pytanie, nazywa się przyjacielem? Dlaczego okazał się wielkim przyjacielem uczniów? Mógłby im przecież tego oszczędzić, ale pozostaliby tak jak my pozostajemy wielokrotnie: bez podjęcia pracy, bez dogłębnego zdania sobie sprawy, dlaczego zostajemy. A rzucając to wyzwanie zmusił ich, by znaleźli rację, dla której pozostają, zmusił ich do zdania sobie sprawy z tej odpowiedniości, której doświadczyli: tylko On ma słowa odpowiadające sercu, dające sens życiu. Bo rozum to odkrycie korespondencji między tym, co ktoś powiada o rzeczywistości i potrzebą serca wobec życia. Chrystus pozwala ujawnić się oczywistości prawdy, która staje się jaskrawa w naszym doświadczeniu odpowiedniości. Ale uwaga, doświadczenie odpowiedniości, żadnego rozwodzenia się, żadnych wizji: doświadczenie odpowiedniości. By móc przyznać rację temu doświadczeniu,

¹¹ J 6, 15.

¹² L. Giussani, *Si può vivere così?*, op. cit., p. 135.

¹³ J 6, 53.

¹⁴ J 6, 66.

jest ktoś, kto odpowiada mi jak nikt inny, jest – co innego niż „jeśli jest” – i wszystko we mnie krzyczy o tej odpowiedniości: on jest. Jezus chciał, by jego przyjaciele zdali sobie sprawę z tego i zmusza ich do wyciągnięcia tego z ich wnętrza, z każdego włókna ich istnienia: odejść od Niego to stracić najlepszą rzecz, jaka zdarzyła się w życiu, tak rzeczywiste jest to doświadczenie. Wystarcza taka prosta lojalność. Nie trzeba tu filozofii, wystarczy być sprowokowanym – co robi Jezus – do zdania sobie z tego sprawy. Powiedzcie, czy mowa tu o jakichś wizjonerach? A dlaczego inni odeszli? Bo ich miara stała się ostatecznym kryterium: nie doświadczenie, ale ich miara, ich zdolność rozumienia, ich koncepcja ostatecznego kryterium. Natomiast uczniowie byli cali pociągnięci tym uczuciem, które zabraniało rozumowi stać się miarą. Jak powiedzieliśmy, serce jest warunkiem zdrowego działania rozumu. Warunkiem by rozum był sobą jest, by poruszała go afektywność, nie zamykała go, i by w ten sposób mógł patrzeć na wszystko, co jest – nie na to, czego nie ma, na wszystko, co jest – ale bez tego afektywnego otwarcia nie da się widzieć.

I to było wielkie wychowanie Jezusa. Jezus nie odpuścił, nie ustąpił, nie stonował nawet o milimetr, by zrozumieli, co się stało, zmuszając ich do stanięcia wobec pytania i do wyciągnięcia oczywistości tego, jak im odpowiadał. I to wywołało natychmiast dwa skutki.

Po pierwsze: wzrost ja. Sprawił, że wzrosła ich samoświadomość, rozumienie, kim był i co im się przydarzyło. Nie pozwolił im odejść w rozproszeniu, jakby zapominając, ale stał się ich przyjacielem, to znaczy objawił się jako Ten, który chciał bronić tej odpowiedniości znacznie bardziej, niż oni, zaciekle wojownik w obronie tego, co oni przeżyli, ponieważ Jezus nie boi się rzucać nam wyzwania; to, co chce przynieść, jest czymś więcej niż moglibyśmy pomieścić w naszych główkach, w naszych małych miarach. Bo gdyby Jezus tego wyzwania nie rzucił, może i by zostali, ale słabsi, mniej świadomi, bardziej zagubieni. Nie jest przyjacielem ten, kto nas pociesza; nawet jeśli robimy to między sobą, nie stajemy się przyjaciółmi. Chrystus wnosi w życie coś więcej.

Po drugie: wprowadzenie w znaczenie rzeczywistości. Rzeczywistość bez tego pozostawałaby wciąż bardziej zagubiona. A tu stopniowo uczniowie mogą wchodzić w znaczenie wszystkiego. A my, kiedy znajdujemy się wobec czegoś, co przewyższa naszą miarę, myślimy, że to jakaś sprzeczność. Nie, rzeczywistość nie stoi w sprzeczności z Tajemnicą, jak widzicie; to, że Jezus tak działa, nie stoi w sprzeczności z Tajemnicą; to wprowadza nas w Tajemnicę, to, co pozwoliło uczniom nie pozostać niewolnikami ich miary.

Jeśli dla nas wiara nie jest taką drogą poznania, kiedy Tajemnica rzuca nam wyzwanie przekraczające naszą miarę, gubimy się jak inni, jak tłum: odeszli, stracili najlepsze. A dlaczego uczniowie pozostali? Bo więcej rozumieli? Nie. Bo byli do Niego przywiązani, pokonali drogę, żyli z Nim, nie mogli pozwolić sobie definiować się ich własną miarą rozumienia, i w ten sposób zrozumieli więcej. Dla nich posłuszeństwo temu przeżytemu

doświadczeniu było rozumne: dlatego było rozumne pozostać. Więcej, prawdziwą ofiarą byłoby odejść, nawet jeśli nic nie rozumieli: odejść i stracić tę intensywność, tę relację, która wprowadzała w życie intensywność i odpowiedniość wcześniej niewyobrażalne.

To jest wielka rewolucja, jaką rozpętał Jezus stając się człowiekiem, rzucając tę nowość w historię, pozwalając nam na doświadczenie takiego kalibru. Powiedzcie, czy to jest wizjonerstwo, czy po prostu we wnętrzu każdego z nas jest gotowość do tego, do wejścia w takie doświadczenie! Odpowiedzcie sobie sami, czy jesteście wizjonerami, kiedy tego doświadczacie, czy możecie tworzyć to sami, czy to jest wasz produkt, twór waszego *credo*! Sami sobie odpowiedzcie! To tutaj zdajemy sobie sprawę z tego, że spotkaliśmy Kogoś innego niż my i że możemy rozpoznać tylko jemu właściwe ślady.

Nie boimy się tego, wczoraj jak i dziś. Po tym, jak poczuł się wolny w skomplikowanej sytuacji, Luca pisze: „Kto czyni mnie wolnym wobec rzeczy? Kto wypełnia moje serce wdzięcznością? Chrystus jest obecnością, która się narzuca”. Albo Marta, która mówi: „Zaczęłam pasjonować się rzeczywistością”. Albo Angelo: „Żadnego strachu – to On działa”. Musimy na to patrzeć, punktem wyjścia jest oczywistość tego, co się dzieje: zdarzenia, zdarzenia które dokumentują obfitość, którą widać w ludzkiej różnorodności, którą mamy przed sobą, jej najważniejszym punktem jest spójność (jak doświadczyliście w ostatnim czasie, w sytuacji, gdy wszystko się wali, a wszyscy mają to w nosie). Dlatego punktem wyjścia jest zawsze to, co dane. By nie wychodzić stąd musielibyśmy negować zdarzenia. Punktem wyjścia nie są myśli, wyobrażenia, sentymenty, ale te wydarzenia: coś, co przychodzi wcześniej, czego nie tworzymy, co jest tak rzeczywiste, tak potężnie rzeczywiste, że nie uznając tego musielibyśmy zaprzeczyć czynnikowi doświadczenia. Uznają to nawet „ślepi”, którzy stoją obok nas i to mnie porusza, bo właśnie ci, co stoją obok uznają oczywistość czegoś, co my, głupi, rozważamy w oderwaniu. Jeśli to jest tak oderwane, dlaczego innych porusza? Oni też są wizjonerami? Wszyscy jesteśmy wizjonerami? Może łatwiej powiedzieć, że jest, w oczywisty sposób jest, jako to, co tworzy rzeczywistość. Odmienne człowieczeństwo pokazuje obecność Chrystusa w historii.

Ale dlaczego jest nam tak trudno? Mówi o tym ksiądz Giussani w *Uomini senza patria*: „Tłum był poruszony, bo słowo było prawdziwe, a prawda niesie ze sobą własną oczywistość. Ale rozproszenie jest natychmiastowe; tłum siedł za nim z pasji słuchania, ale bez dogłębnego zaangażowania swojego serca”¹⁵. Tego Jezus, z miłości do naszego życia, nie pozwala nam robić; a jeśli ktoś chciałby tu tak pozostawać, i my nie pozwolimy mu na to. Potrzeba uczuciowo zaangażowanego rozumu. Nie wystarcza, by ktoś tu zostawał, bo nie ma nic innego do roboty. Nie, pozostaje wyzywając rozum, dając racje!

¹⁵ L. Giussani, *Uomini senza patria* (1982-1983), Bur, Milano 2008, p. 11.

3. Więż, która zwycięża każdą obiekcję

Jest podstawowa obiekcja, którą wielokrotnie stawiamy. Kiedy znajdujemy się wobec pociągającej nasze uczucia obecności wszystko jest w porządku, prawda? Ale kiedy przychodzi cierpienie... Nie poddajemy dyskusji istnienia Tajemnicy, ale kiedy ona nas wyzywa do przekroczenia naszej miary, zdolności naszego rozumu, zaczynają nachodzić nas pewne myśli, nad którymi nie chcę przechodzić nie patrząc im w twarz. Jaka jest treść słowa „naśladować”? By zrozumieć znaczenie tego słowa trzeba patrzeć na Szymona i innych, którzy z Nim pozostali. „Byli z Nim. Uważajcie: nie [tylko] po jego stronie”¹⁶. Ponieważ kiedy przyszedł kryzys, próba, okazało się, kto naprawdę był do niego przywiązany. Tłum tego nie miał, nie mógł rządzić i porzucił Go.

Żeby zrozumieć, co to znaczy, trzeba się utożsamić z Jezusem: „Miejcie w sobie uczucia Jezusa Chrystusa”¹⁷. A co widzimy w Jezusie? By to zrozumieć, zacznijmy od tego, co robili uczniowie. Kiedy przyszła Męka i oni Go opuścili. Dlaczego? Bo wielkim problemem bólu jest to, że szkodzi. A w jaki sposób ból szkodzi? W jaki sposób zło, ból, cierpienie, szkodzi? Widzimy to: wystarczy, że ktoś z nas zostanie zraniony w związku, natychmiast czujemy się od niego oddaleni. Prawda? Zaczynamy odczuwać oddzielenie. To jest ból, który szkodzi, rozumiecie? A my jak to widzimy? Gdy tylko zło wchodzi w nasze życie i wykracza poza naszą miarę, przedstawia się jako nieufność, ugruntowane podejrzenie o dobro Tajemnicy. Nie mamy problemu z istnieniem Tajemnicy, ale w pewnym momencie, w pewnych okolicznościach... Wprowadzenie tego podejrzenia to najgłębsze zło, które wywołuje ból.

Zdarzyło mi się w tych dniach czytać przez przypadek wywiad z mężem Terry Schiavo, dziewczyny, którą pozostawiono na śmierć w Stanach Zjednoczonych. Mąż mówił, że poczucie pustki, stopniowo jak mijały takie same dni i lata, było niszczące. To jest ból, który szkodzi: poczucie pustki było niszczące. Nie istnieje większy ból. I my to odczuwamy. Jedna z was mówi: „Wielokrotnie wobec trudnych spraw wkrada się podejrzenie: ale czy Tajemnica jeszcze mnie kocha?”. Albo ktoś inny: „Zdaję sobie sprawę, że potrzebuję patrzeć dogłębnie na rzeczywistość, potrzebuję widzieć, że rzeczy, które się zdarzają są mi dane naprawdę dla mojego szczęścia, dla mojej realizacji; potrzebuję widzieć, że nie ma nic, co zdarza się niesprawiedliwie, bez jakiejś racji, racji, która mnie dotyczy”.

Czemu, skoro bolesna sytuacja się nie zmienia i nie rozwiązuje, wszystko nie jest wielkim oszustwem? Co to znaczy, że ból i próba są sposobem, przez który Tajemnica się uobecnia? Właśnie żeby na to odpowiedzieć musimy się utożsamić ze sposobem, w jaki Jezus to przeżywał, ponieważ nie oszczędzono mu bólu: On cierpiał ból. Jaka jest różnica? Że w Jezusie nie zwyciężyło podejrzenie. Dlaczego nie zwyciężyło? Tu jest pies pogrzebany. Wydaje nam się, że podejrzenie nie zwyciężyło w Nim, bo był porządniejszy, był do tego zdolny, bo miał

¹⁶ L. Giussani, *Si può vivere così?*, op. cit., p. 141.

więcej odwagi, więcej energii... W gruncie rzeczy: ponieważ jest Bogiem (w ten sposób redukujemy Jezusa do wspaniałego moralisty, zacieklego kantysty, który ma dość energii by nie dać się pokonać). Taka koncepcja w końcu przechodzi: że posłuszeństwo w gruncie jest ostateczną brawurą, która pozwala nam pozostać przywiązani. Zobaczcie, już dotarliśmy do tego punktu: w Szkole Wspólnoty zaczęliśmy od wiary jako wiedzy, której sprawdzianem jest wolność jako satysfakcja; wystarczyły trzy rozdziały, i wróciliśmy do starego modelu, czyli do chrześcijaństwa jako moralizmu, rozumiecie? Niewiele trzeba. I widać to po sposobie w jaki myślimy o Jezusie: Jezus był porządniejszy i mógł tak zrobić. My, ponieważ nie jesteśmy tacy cnotliwi, kiedy pojawiają się te sprawy, możemy ustąpić. Byłoby grzechem, gdybyśmy wyszli ze szkoły wspólnoty nie zmieniając naszego rozumienia posłuszeństwa.

W rzeczywistości, ból nie był w stanie zwyciężyć Jezusa, bo nie był w stanie rozerwać więzi Jezusa z Ojcem, uciąć relacji Jezusa z Ojcem. W Jezusie nie zwyciężyła podejrzliwość w dobroć Ojca. W Jezusie nie zwyciężył moralista, zwyciężył Syn, a Jego posłuszeństwo było zwycięstwem tej więzi, zwycięstwem synostwa, przywiązania, które jest osądem Tajemnicy. Ból nie poniósł ze sobą, nie pozwolił zwyciężyć podejrzewaniu. A my chcemy być silni bez więzi, chcemy być chrześcijanami bez Chrystusa, tak jakby Jezus chciał pełnić wolę Ojca bez więzi z Ojcem. Chcemy poradzić sobie sami. Jak mówiła jedna z was: „Tytuł brzmi: «To rzeczywistość woła, że On jest», a ja chciałabym powiedzieć: «To rzeczywistość woła, że wszystko jest Tajemnicą». Wobec tego, co dzieje się z Eluaną widzę, że tajemnicą jest fakt, że ona jest, ale zatrzymuję się tutaj, nie dochodzę do przyznania, że potrzebuję Chrystusa, by móc patrzeć na tę sytuację”. Nie dociera do przyznania, że potrzebuje Chrystusa, że potrzebuje więzi silniejszej od każdego bólu. A posłuszeństwo jest rozumne tylko jeśli widzimy, że w tej więzi, w tej przynależności do Ojca tkwi “powodzenie życia”¹⁷, ponieważ oddalić się od Ciebie, Chryste, jest prawdziwą ofiarą. Co zwyciężyło w Jezusie? Ta relacja z Ojcem, więź, przeżywana przynależność. Bez tego, przyjaciele, gdy tylko pojawi się coś przekraczającego naszą miarę, widzimy że nasza wiara ma okres ważności. Kończę czytając ten list, zobaczcie do jak głębokiego doświadczenia można dotrzeć.

„Kochany księżu Carròn, mój drugi syn, Giovanni, urodził się z bardzo dużą wrodzoną wadą serca, która zaprowadzi go za kilka lat na pierwszy przeszczep serca. W lipcu tego roku otrzymałam niespodziewany telefon: dzwoniła Vittoria, dziewczyna z Rzymu, w szóstym miesiącu ciąży, właśnie dowiedziała się, że jej dziecko urodzi się z bardzo podobną chorobą jak mój syn. Powiedziała mi, że za nazajutrz zamierza jechać do Barcelony, by dokonać aborcji (we Włoszech minął już dozwolony czas). Siostrzeniec Vittorii, który mieszka w Como i dziwnym zbiegiem okoliczności znał moją historię, zdobył mój telefon i poprosił ciocię, by do mnie zadzwoniła. Na początku nawet nie chciała widzieć numeru: zbyt bolesne było wracać

¹⁷ Fil 2, 5.

¹⁸ L. Giussani, *Si può vivere così?*, op. cit., p. 144.

do dyskusji nad podjętą już decyzją, a poza tym obawiała się o zdrowie swojego męża, który w przeszłości przechodził ciężką depresję. Niezrozumiały impuls kazał jej jednak zadzwonić do mnie pod nieobecność męża. Rozmawiałyśmy jakieś pół godziny. Kiedy opowiadała, rozumiałam, że choroba jej dziecka była cięższa, niż ona sama myślała. Specjalnie nie uświadomiłam jej tego, by nie pogarszać sytuacji maleństwa. Opowiedziałam mężowi o tym ostatnim szczególe, a on zdecydowanie mi odpowiada: «Ale przepraszam cię, czy Giussani kiedykolwiek ukrywał przed tobą trud życia, czy raczej rzucał wyzwanie twojej wolności?». Znajdźmy mądry sposób, by Vittoria miała do dyspozycji wszystkie ważne dla decyzji czynniki. Pomyśleliśmy, że skontaktujemy ją z naszą kardiolog: to ona poinformowałaby ją kompetentnie o wadzie serca jej dziecka. Oddzwoniłam do niej, by dać jej numer i prosić, czy mogę zadzwonić następnego dnia, by dowiedzieć się, co powiedziała lekarka – też po to, by mieć pretekst do następnej rozmowy. Nazajutrz sama Vittoria do mnie dzwoni; mówi, że jest na lotnisku i zaraz leci do Barcelony. Krew ścięła mi się w żyłach. A ona od razu dodaje: «Dokupiliśmy bilet dla Alice, naszej pierwszej córeczki, wszyscy jedziemy na wakacje, nie chcę już aborcji». Nie jestem w stanie opisać radości, jakiej wtedy doznałam. Powiedziałam, jak bardzo jestem szczęśliwa, że lekarka ją uspokoiła, ale ona natychmiast odpowiedziała mi: «Kardiolożka nie ma z tym nic wspólnego. Zdecydowała się już po naszej pierwszej rozmowie: uratowałaś życie mojemu dziecku». Po kilku kolejnych rozmowach narodziło się pragnienie poznania jej osobiście, więc w połowie października pojechałam na jeden dzień do Rzymu. Na początku ja i Sergio, mój mąż, nie byliśmy pewni zważywszy na koszt biletu i konieczność jakiegoś zorganizowania rodziny, ale wystarczyło się zapytać: «Ale jaką cenę jesteśmy w stanie zapłacić dla posłuszeństwa temu, jak Tajemnica decyduje o zdarzeniach naszego życia?». Niewiele było trzeba byśmy wspólnie odpowiedzieli tym, co przypomina Szkoła Wspólnoty: «Stał się posłusznym aż do śmierci». Jak postawą Chrystusa wobec Ojca było posłuszeństwo, tak taką samą postawę powinniśmy mieć wobec Chrystusa. Posłuszeństwo definiuje postawę Chrystusa wobec Ojca. Chrystus uznaje, że to jest droga Jego życia. Dlatego Bóg otoczył go chwałą i wszystko złożył w Jego ręce. Z tego powodu zdecydowaliśmy, że pojedziemy do Rzymu. Przyjęto mnie tam jak królową. Kiedy przechodziliśmy przez miasto, spytałam Vittorię, co ją przekonało, bo nie rozumiałam tego: wydawało mi się, że nie powiedziałam nic tak decydującego [widzicie? sam fakt się narzuca, a człowiek nawet sobie nie zdaje sprawy z oczywistości tego, co jest]. Odpowiedziała, że uderzył ją fakt, że byłam szczęśliwą kobietą i że razem z mężem zdecydowaliśmy mieć jeszcze dwoje dzieci po Giovannim, który ma teraz pięć lat. Nie była w stanie wyjaśnić sobie, jak to możliwe by przy tak chorym dziecku nie tylko nie zdecydowaliśmy się na aborcję, ale chcieliśmy jeszcze mieć więcej dzieci. To proste – powiedziałam – chcieliśmy móc powiedzieć, bez mówienia, Giovanniemu, że życie jest dobre, ale mógł to zrozumieć tylko widząc, że jesteśmy z mężem pewni tego dobra. Jaki byłby lepszy sposób niż podarowanie mu rodzeństwa? Odpowiedziała:

«I to mnie przekonało». Po spędzeniu razem poranka i wczesnego popołudnia, odwieźli mnie na lotnisko. Piero, mąż, nie mógł uwierzyć, że przyjechałam do Rzymu tylko po to, by ich poznać, marnując czas i pieniądze. Powtarzał ciągle: «Myślałam, że miałaś jakieś sprawy do załatwienia w Rzymie. A jesteś tu tylko dla nas. Nikt na świecie nie zrobiłby tego». Odpowiedziałam, że tak naprawdę była długa lista przyjaciół, którzy chętnie by mi towarzyszyli, ale nie mogli przyjechać. Ale chcę podzielić z tobą również decydujące wydarzenia, które wywróciło moje życie. Kiedy już odchodziłam w stronę bramki, Vittoria powiedziała wybuchając płaczem: «Nie chcę cię stracić. Dałaś życie mojemu synowi». Uśmiechnęłam się, ale chciałam wykrzyknąć jej w twarz: «Nie, nie ja, ale Ten, kto daje je również nam w tym momencie, kto powierza nas sobie nawzajem!». Ale milczałam. Uśmiechając się i patrząc jej w oczy z nieznaną czułością powiedziałam: «Nie płacz». W czasie podróży samolotem, wracałam do tego, wyrzucałam sobie, że nie powiedziałam tego, co myślę. Kolejnego wieczoru, oglądając wystawę o świętym Pawle, jaką prezentowałam w Bergamo, czytam słowa z audiencji generalnej u Papieża: „Według Pawła, życie chrześcijanina ma przynosić utożsamienie nasze z Chrystusem i Chrystusa z nami. Paweł pisze: Zostaliśmy z nim całkowicie złączeni. Chrystus jest w nas, Chrystus jest we mnie”. Kiedy skończyłam czytać pomyślałam znów o scenie, którą przed chwilą ci opisywałam, i prawie natychmiast przyszło mi do głowy spotkanie Jezusa z wdową z Nain: „Kobieto, nie płacz!” – i oddaje jej dziecko. Od tej chwili to jest moja pierwsza myśl: czy to możliwe, by Chrystus tak bardzo pochylił się nad moją nicością, by uczynić mnie z Sobą jednością? Ale kim jest Ten, kto tak bardzo lituje się nad moją znikomością? Kim jest Cristina, że się nią zajmujesz? Nędzarką. A co robi ze mną Chrystus? Zdecydował pomęczyć się dla tej biednej kobiety, jakiegoś nic, całkowitej nicości, On zdecydował zjednoczyć ją całkowicie z Nim, do doskonałej jedności, do jednej rzeczy, całkiem darmo. Ale kimże On jest? Mój Boże, co za wdzięczność! Jak zwykle, Ukochany zostawia mnie bez tchu. Wreszcie maleństwo się urodziło, ma na imię Filippo, i od jakiegoś miesiąca leży w szpitalu Dzieciątka Jezus. W międzyczasie Vittoria poznała Paolę, przyjaciółkę z ruchu z Rzymu, z szóstką dzieci. Również patrzenie na przyjaźń i szczęście Paoli daje pomoc i otuchę Vittorii i Piero. Nie wiem, co z nimi będzie, czy zakochają się kiedyś w Tym, w czym zakochaliśmy się my, ale dobrze wiem, czego chcę dla mnie: szalona czy zrównoważona, chora czy zdrowa, cała Jego, cała – Nim. Nic innego mnie nie interesuje”.

Assemblea

6 grudnia, popołudnie

Juliàn Carròn: Dostaliśmy mnóstwo pytań, wybraliśmy kilka z najbardziej znaczących. Zaczynamy.

🕒 *Jestem Maria Laura z Rzymu. Wczoraj, czytając list dziewczyny, powiedziałaś, że nawet w czasie pięknego wieczoru pojawia się zawsze jakiś smutek i że to jest dobre, bo jest pytaniem o znaczenie. A ja pytałam się: ale kiedy kończy się ten smutek? Kiedy odnajdujemy znaczenie? Jakie znaczenie ty odnalazłaś? Też odczuwasz ten smutek?*

Oczywiście!

Ale czy to nie sprzeczność? Bo ja nie widzę smutku jako czegoś pozytywnego, ja chciałabym radości w moim życiu, nie smutku, nie chcę być smutna.

Pomóżmy sobie w zrozumieniu tego, bo to pytanie często powraca, Maria Laura. Dlaczego przychodzi smutek? Bo czegoś nam brakuje, to jest znak jakiegoś braku, tak? Jakiegoś dobra, którego brakuje. A dlaczego tak jest? Dlaczego po pięknym wieczorze możemy odczuwać taki smutek? Ponieważ jest to znak twojej wielkości, mojej wielkości. Jesteśmy tak wielcy, jesteśmy do tego stopnia stworzeni dla nieskończoności, dla całości, że impreza nam nie wystarcza. I czasami nas to zdumiewa, bo to tak, jakbyśmy chcieli, by Tajemnica stworzyła nas troszkę mniejszymi, byśmy mogli się zadowolić czymś mniej. Tak jakby przechodziły nas dreszcze wobec tej wielkości, takiej nieskończonej i chcemy ją zredukować. Ale ty rozumiesz, że to jest znak naszej wielkości?

Bo jeśli się już to zrozumie, zaczyna się rozumieć, że uznanie tego jest dobrem, bo często jeśli tego nie uznajesz można cię oszukać – bo ktoś ci powie, że lekiem na twój smutek może być jakaś rzecz, ktoś inny ci reklamuje coś innego, jeszcze ktoś inny ci chce sprzedać jeszcze coś innego i tak dalej. Ile razy wychodziłaś naprzeciw wielu rzeczom, które obiecywały ci taką odpowiedź i było to oszustwo? Najpierw godzimy się na taką redukcję – przekonuje się nas, że dobrze jest ten smutek zredukować – a potem nas oszukują. A jeśli zaczniemy to pojmować jako dobro, jako zdolność moją osądu wszystkiego, by nikt mnie nie oszukał...

Więc powinnam się cieszyć, że jestem smutna?

Nie, powinnaś zacząć osądzać – nie chodzi o to, że powinnaś być szczęśliwa, szczęście samo przychodzi: zacznij osądzać, zacznij uznawać, że kiedy oferują ci odpowiedź nierozumną, bo nie odpowiada na całą wielkość twojej prośby, masz jasność, żeby się na to nie nabrać.

Ale jeśli spotkaliśmy Chrystusa, mówisz, jeśli spotkaliśmy znaczenie, jaki jest sens tego smutku? Jaki jest dla mnie sens tego smutku? Ten smutek, ten brak satysfakcji, jakiegoś innego nieusatisfakcjonowania, ma sens, bo rzuca nam wyzwanie do poszukiwania tego znaczenia. Zawsze daję przykład tęsknoty. Ktoś zakochany tęskni za ukochaną czy nie?

Tęskni.

Tak. I ta tęsknota jest negatywna czy pozytywna?

Pozytywna.

Jest pozytywna: czegoś mu brakuje, spotkał ukochaną i tęskni za nią. To pozytywne. Chciałabyś się zakochać i nie tęsknić?

To by znaczyło, że nie jestem zakochana.

Brawo. I to samo dotyczy mnie i Chrystusa. Dlatego nie interesuje mnie żadna relacja, w której nie ma tej tęsknoty za Chrystusem, tego smutku, który rozpala we mnie pragnienie odnajdywania Go coraz bardziej. I dlatego kiedy odczuwam smutek, to jest jak tęsknota. Dlaczego to czuję? Dlatego, że tęsknię za Tobą, Chryste i za Ci to dziękuję, bo bez tego smutku, bez poczucia braku, bez tęsknoty za Tobą, nie mógłbym żyć. Czy to jest jasne?

Tak.

Jeśli wychodzi się od abstrakcji, to jest niezrozumiałe, jeśli to doświadczenie, rozumie się. Jeśli wychodzisz od doświadczenia, zrozumiesz te rzeczy. A to pokazuje jak często nasz rozum działa poza doświadczeniem, i dlatego wielu rzeczy nie rozumiemy, i wydaje nam się, że chcielibyśmy, żeby życie było inne, kiedy, w rzeczywistości, nikt nie chciałby pozbyć się tej tęsknoty, ponieważ ona jest ciągłą możliwością relacji, bo pozwala mi ciągle zdawać sobie sprawę z Chrystusa.

I to – powiadam – jest czymś innym dla osoby, która jest sama, która nie znalazła odpowiedzi, która nie spotkała znaczenia. Ponieważ dla kogoś, kto spotkał Chrystusa ten smutek jest objęty Jego obecnością, i dlatego nie stanowi sprzeczności, jest już cały objęty i to,

co pozostaje jest dlatego, że Pan chce mnie poprowadzić dalej, wyprowadzić ponad pełnię, którą już osiągnąłem, by dawać mi coraz większą intensywność, by coraz bardziej mnie wypełniać. Jeśli chcecie się zadowolić czymś mniej, to wasz problem, nie dotyczy mnie, nie interesuje mnie.

⌚ *Jestem Gabriele, mieszkam w Rzymie i studiuje na Sapienzy. Powiedziałeś dzisiaj, mówiąc o nauczycielce z liceum, że jej nieposłuszeństwo polegało na nie przejmowaniu się tym, co się działo. W czasie okupacji mojego wydziału bardzo zaangażowałem się w relację z moimi kolegami z grupy, brałem udział w zebraniach robionych przez kolektyw; z przyjaciółmi z ruchu napisaliśmy ulotkę osądzającą blokadę zajęć, krótko mówiąc, przejmowałem się. Ale mimo wszystko i tak byłem strasznie wkurzony. Więc pytam: co to znaczy angażować się, co to znaczy przejmować się.*

Wielokrotnie zdarza nam się, jak mówiłem dziś rano, czuć się już w porządku i zamiast pozwolić się uderzyć przez rzeczywistość która każe nam poszukiwać znaczenia, mówimy: „Już rozumiem i więcej mnie nie interesuje”, bo już mamy gotową odpowiedź. Wielokrotnie mamy już przygotowaną odpowiedź. A co się dzieje? Kiedy tak jest, ludzi w ogóle nie interesują nasze ideologicznie skonstruowane odpowiedzi. Jak mówiła ta nauczycielka: konsekwencją była straszna złość. A ja mówię: dzięki Bogu, przyjaciele, bo nam też nie są potrzebne gotowe odpowiedzi, tak jakby chrześcijaństwo, to co pozostaje z chrześcijaństwa, było dobrze wyuczonym tekstem, docieramy tutaj, mówimy nasz tekst i możemy już nie zważać na rzeczywistość. Nie trzeba nam tego, bo ludzie są od tego coraz dalej. Więc zostajemy z naszym poprawnym tekstem, inni nas ignorują, a my jesteśmy coraz bardziej źli, bo coraz bardziej wykluczeni. Podstawowe jest właśnie to zrozumieć, bo inaczej powiększymy partię wkurzonych. Jest tylu chrześcijan wściekłych na świat walący się na ich oczach: „Nikt na nas nie zważa, a przecież mamy rację!”. Nie bez powodu Jezus stał się człowiekiem z ciała (nie wysłał nam pocztą tekstu, instrukcję mógł nam przecież wysłać pocztą), stał się człowiekiem by towarzyszyć nam w sposób, w jaki przeżywał rzeczywistość.

Widzieliście dziś rano ostatni list, przepiękny, Cristiny? Co przekonało jej przyjaciółkę, która chciała aborcji? Wypowiedź lekarza czy świadectwo Cristiny? Myślała, że mogą ją przekonać racje przedstawione przez lekarza. Ale nie: „Przekonało mnie to, że zobaczyłam jak żyjesz w więzi z twoim synem chorym na tę chorobę”. Nie wystarczy nam sama słuszna doktryna! Trzeba, bym tak doświadczał życia wobec chorego dziecka, mojego chorego dziecka, by widziało, że jest dla mnie dobrem. Jeśli tym nie żyję, wyobraźcie sobie na co mamie słuszna doktryna życia, na co małżonkom słuszna doktryna o małżeństwie by utrzymać rodzinę? Również my jesteśmy wezwani do podjęcia drogi poznania, Tajemnica rzuca nam wyzwanie do wejścia w rzeczywistość, tak, by stawała się ona coraz bardziej możliwością życia. Jeśli ja to tak widzę, jeśli ja zaczynam żyć wewnątrz jakiegokolwiek

doświadczenia, weryfikuję wiarę i jestem mniej wściekły, bo niezależnie od tego, że jestem w mniejszości albo inni ignorują to, co mówię, zaczynam doświadczać pozytywnie życia – dla siebie. I to jest sposób na komunikowanie innym, ponieważ treść i metoda muszą do siebie pasować.

Nie ma innej możliwości komunikowania tego, co mówimy, jeśli nie samym życiem. Nie ma innego sposobu zakomunikowania czystego, poprawnego tekstu, niż świadectwo. Ponieważ inaczej co robimy z chrześcijaństwa? Znowu, genialną teorię. Ale jeśli Słowo stało się ciałem, teraz nie możemy znów odbierać mu ciała i pozostawiać z niego tylko tekst. Chrześcijaństwo ogłasza się przez ciało świadka. A żebyśmy mogli być świadkami nie wystarczy patrzeć na bohaterów z szanów, trzeba samemu się upaść i zobaczyć, czy ta droga wiedzy jest dla ciebie dobrem, rzeczą budującą twoje życie, czymś co czyni cię coraz bardziej tobą samym, coraz bardziej spójnym, coraz bardziej wdzięcznym. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz coraz bardziej wściekłym zwolennikiem poprawnego tekstu.

To jest dla nas okazja. Bo coraz bardziej widzimy, jak przed nami wali się świat i że ludzie są coraz bardziej oddaleni. Jak zacząć od nowa? Tak, jak zaczynało chrześcijaństwo, jak zaczynał św. Paweł. Możesz sobie wyobrazić św. Pawła, kiedy cały świat myślał w zupełnie inny sposób, wściekłego na drogach Imperium Rzymskiego kiedy niósł Chrystusa? A może był cały rozentuzjasmowany tym, co spotkał, co pozwalało mu wchodzić w rzeczywistość, konfrontować się ze wszystkim w obecności Chrystusa, tak, że mógł weryfikować to, co działo się w jego własnym życiu? Albo św. Benedykt? To byli ludzie żyjący w sytuacji, w jakiej powoli i my zaczynamy żyć. Możemy się wściekać na świat bo nie odpowiada naszym myślom, mówić po prostu, że nie mają racji. Albo jak mówi Péguy: Jezus nie tracił czasu narzekając na świat, bo był zły. Uciał krótko: założył chrześcijaństwo, czyli zaczął żyć, w swojej relacji z rzeczywistością, to, co mówiliśmy dziś rano.

☺ *Jestem Lorenzo z Politechniki Mediolańskiej. Ostatnio zauważyłem, że nie przeżywam w pełni tego czasu i nie jestem usatysfakcjonowany. Moja postawa to oczekiwanie, jestem pewien, że odpowiedź jest, ale w tym momencie to w ogóle nie jest oczywiste, nie doświadczam tego. Miałem też wątpliwości co do pojechania na rekolekcje, zakwestionowałem doświadczenie, jakim żyjemy. Ale w notatkach mojej mamy o Zmyśle religijnym przeczytałem, że wątpliwość jest konsekwencją braku zaangażowania w rzeczywistość, więc zapewne moja postawa jest błędna. Pytanie, które z tego wynika: jak przełamać ten brak zaangażowania? Jak rozpoznam odpowiedź i kiedy zakończy się oczekiwanie?*

Zacznijmy od tego, co pisze twoja mama: wątpliwość jest owocem braku zaangażowania w rzeczywistość. Jak odpowiesz, jeśli spytam: ta kartka jest biała?

Tak.

Tak. Widzisz, że nie masz problemu, by to uznać? Masz jakieś wątpliwości?

Nie.

Nie. Kiedy angażujemy się w rzeczywistość, wątpliwości są pokonane. Ale po to – jak widzisz – nie trzeba nie wiadomo jakiej energii, wystarczy po prostu lojalność. Ale nawet jeśli to mało, ta lojalność nie jest mechaniczna. To nie jest wielki wysiłek, ale należy zaangażować ją; uznanie rzeczywistości nie jest mechaniczne, jest gestem ją, angażuje ją. Możesz pozostawać o milimetr od rzeczywistości nie angażując się, bez tego gestu uznania, albo możesz po prostu ją uznać, być lojalnym ze sobą i uznać ją, wtedy wątpliwość jest pokonana. To jest proste, prościuteńkie, ale jest dramatyczne, bo nie jest mechaniczne. Rozumiesz? Chcielibyśmy sobie tego oszczędzać, ale wyobraź sobie relację z wszystkim innym, z przyjaciółmi, z tobą samym bez takiego zaangażowania. Jeśli nie angażujesz się uczciwie (bo to jest normalna uczciwość wobec tego, co się dzieje), pozostajesz z coraz większym dystansem, z coraz licznymi wątpliwościami, bo wystarczy milimetr, by popaść w wątpliwość. Ale jeśli za każdym razem, wobec czegośkolwiek, ja się angażuję, to jest to zwycięstwo nad wątpliwością, nad oddaleniem, nad brakiem zaangażowania, i dlatego jesteś coraz bardziej przywiązany, coraz pewniejszy, w takim czy innym sensie, i rośniesz. A jeśli pozostajemy w oderwaniu, jesteśmy coraz bardziej zniewoleni stanami ducha, sentymentami, które się ciągle zmieniają, jesteśmy coraz bardziej zagubieni.

Chciałbym wam ująć tego dramatu, ale to niemożliwe. Chciałbym wam ująć tego trudu, ale to niemożliwe, przyjaciele, bo to jest wasza wielkość, wasza godność. Można to zaakceptować i wtedy życie staje się coraz jaśniejsze, coraz bardziej pewne. Albo oderwać się i popaść w coraz większe wątpliwości, na ruchomych piaskach. To jest wybór, którego trzeba dokonać. To ci życia nie ułatwi. Jeśli taki brak zainteresowania ułatwiałby życie, powiedziałbym – ale kto ci każe z tego rezygnować! Ale jest dokładnie przeciwnie: jesteś coraz bardziej zagubiony, i dlatego życie coraz bardziej się komplikuje, nie wiadomo, gdzie się ruszyć. Powiadam: a może bardziej współbrzmi z naszą potrzebą i pragnieniem znaczenia zaangażowanie, odpowiedź na wyzwanie rzeczywistości, na prowokację rzeczywistości? Odpowiedzi musi udzielić każdy z nas, bo nikt tego za nas nie robi.

🕒 Mam na imię Agnese i studiuję pedagogikę na Uniwersytecie Katolickim. W ciszy w autokarze myślałam, czego chcę od życia, jeśli chodzi o relację z moim chłopakiem, o naukę, o przyjaźnię. Nie jest dla mnie jasne, czego chcę, albo lepiej, dużo rzeczy przychodzi mi do głowy, ale nigdy nie pojawia się w głowie jedna rzecz, taka zdecydowana i pewna jak pisze Cristina w swoim liście: „Być całą Jego. Nic

innego mnie nie interesuje". Jak dociera się do takiej pewności? I żeby te dni nie były czasem w nawiasach, jak nie zatrzymać się na odczuciu uderzenia, ale uczynić to metodą na każdy dzień?

Więc nie jest tak, jak mówisz! Jeśli pragniesz powiedzieć „Być cała Jego. Nic innego mnie nie interesuje”, to nie wszystko się ulotniło, już coś jest jaśniejsze!

Tak.

By do tego dotrzeć należy pokonać drogę, podjąć wędrówkę. Próbuje się ciągle sobie w tym towarzyszyć, przez nasze gesty, nasze bycie razem, nasze odpowiedzi na wyzwania życia. Jak robili uczniowie, w przeciwieństwie do tego, co robił tłum. Co pozwoliło apostołom osiągnąć tę pewność? Zaangażowali się w relację z Jezusem i w pewnym momencie dla nich – ty byś tego chciała – było już ofiarą odejść od Niego. Nie pozostali, żeby zrobić Mu przyjemność: pozostali, bo bez Niego gdzie by poszli?

Uczniowie, nędzarze tak jak my, wyczyniali najróżniejsze rzeczy, chcieli puścić z dymem Samarytanów, kiedy się wściekali, kłócili się między sobą, nie rozumieli. Jak my, wszystko dokładnie jak my. To nie tak, że Ewangelia ich nierealistycznie pokazuje: są jasne wszystkie wady i ograniczenia, bo Ewangelia nie potrzebuje maskować ich wad. Poprzez te wady pokonali drogę, która pozwoliła im, powolutku, zakochać się coraz bardziej w Jezusie. Problemem jest czy każda okoliczność, jaką przeżywamy, każda chwila życia jest dla nas garstką kleju, bo to jest tak, że zaczyna się naprawdę rozumieć, czego się chce, jaka jest różnica między pozostawianiem bez znaczenia, bez spełnienia życia a tym doświadczeniem pełni, która coraz bardziej przykleja cię do Chrystusa.

To jest droga. Często się przejmujemy, czy jesteśmy w porządku, czy spójni, ale jesteśmy jak uczniowie, pełni ograniczeń. To nie powinno nas zmylić, to nas nie interesuje. Co nas interesuje? Czy powoli każde doświadczenie pozwala nam coraz lepiej rozumieć, czego chcemy. I to właśnie zaprowadzi cię do miłości do Chrystusa mogącej powiedzieć: Twoja łaska jest cenniejsza niż życie, chcę zostać z Tobą, być cały twój i to mnie interesuje. To był wynik drogi, wspólnego życia, weryfikacji propozycji, posłuszeństwa odpowiedniości Chrystusa. Jeśli znalazłaś taką odpowiedniość, jak uczniowie, co ci jeszcze wzbrania zaangażować się tak, by coraz lepiej sprawdzać czy naprawdę to czyni życie coraz piękniejszym, jaśniejszym, bardziej satysfakcjonującym we wszystkim, w nauce, relacjach z przyjaciółmi, przyjaciółkami, z chłopakiem? We wszystkim, we wszystkim czym żyjesz.

Bez tego to by nie było rozumne, bo nikt was nie prosi o przyłgnięcie do czegoś, czego nie sprawdziliście. Co zrobił Jezus? „Patrzcie, przyjaciele, staję się człowiekiem, by wam towarzyszyć. Nie mogę zrobić nic innego. Mogę powiedzieć: patrzcie, jeśli ze Mną pójdziecie, życie będzie piękniejsze, stokroć tutaj i życie wieczne”.

I to jest wyzwanie. Dla kogoś, kto chce osiągnąć pełnię i szczęście życia, to jest największe wyzwanie. I nie czyta się tego tylko w jakiejś teorii z przeszłości; ale widać to po osobach, które świadczą że tak życie staje się bardziej interesujące. I to nie tak, że jesteśmy głupi i jesteśmy tu bo nie mamy nic innego do roboty w weekend, my tego doświadczyliśmy. Dlatego, jeśli sobie w tym towarzyszymy, powolutku doświadczamy tego i coraz lepiej rozumiemy, dlaczego przyłgnięcie, bycie chrześcijaninem jest rozumne. Bez tego nie ma adekwatnych racji.

☎ *Jestem Vera z Monachium, z Niemiec. Studiuję Psychologię. W tych miesiącach coraz bardziej zauważam, że wszystkie teorie, których muszę się uczyć nie wystarczają do wyjaśnienia człowieka, bo po prostu istnieje jakiś tajemniczy czynnik, który wykracza poza moją miarę. Tutaj jeszcze bardziej, tutaj z wami, uznaję niezwykłość, której nigdzie indziej nie odnajduję. Ale jak patrzeć na rzeczywistość tak, by było jasne że ta Tajemnica ma twarz Chrystusa? Rzeczywistość, wszystko, również rzeczy, które mi nie odpowiadają. Jak mogę wypowiadać jego imię tak, by nie było abstrakcyjne, nie było etykietką?*

Bardzo ci dziękuję, to powiązanie między nauką a doświadczeniem jest decydujące. Wielokrotnie, rzeczywiście, z jednej strony jest nauka a z drugiej doświadczenie. A to, że ona zaczyna zdawać sobie sprawę, że wszystkie te teorie nie wystarczają dla zrozumienia człowieka – ten tajemniczy czynnik który wykracza poza wszelkie miary – to jest decydująca sprawa w studiowaniu. Inaczej jaką psychologię studiujesz? Już zredukowaną. To się może zdarzyć w psychologii, w antropologii, w filozofii, we wszystkim. I to mi się wydaje podstawowe dla przezwyciężenia dualizmu, który mamy w tyle głowy: z jednej strony nasze doświadczenie, nasza nauka, która używa rozumu jako miary, a z drugiej strony doświadczenie jakim żyjemy, ta zaciekła walka o której rano mówiłem, Tajemnicy z nami samymi by tę miarę przezwyciężyć. Dojrzałaś przez swoje doświadczenie i teraz jeśli chcesz zrozumieć czyjaś psychologię musisz wyjść od tego doświadczenia, inaczej nic nie zrozumiesz, nikogo bym nie posłał do twojej kliniki; nie dlatego, że nie chcę, tylko dlatego, że wywołałabyś więcej katastrof niż wyleczyła. Rozumiesz? Więc to ci mówi, że jeśli zaczynasz z taką hipotezą, musisz próbować nauczyć się więcej, masz prawdziwą motywację do studiowania, do weryfikacji co to wszystko, czego się uczysz ma wspólnego z twoim doświadczeniem. To tak jakby ci dodano ciekawości do nauki. I od tej chwili nauka jest inna, jeśli ma związek z twoim doświadczeniem. Nasze doświadczenie nie jest dla ludzi, którzy chcą być pobożni, a studia swoją drogą. Nie, chcemy się stać ludźmi i zwyciężyć ten dualizm, który stoi u źródeł tego rozłamu własnego ja: z jednej strony, użytek jaki robię z rozumu według jakiejś miary, a z drugiej doświadczenie. Dlatego bardzo mi się podoba twoje pytanie, bo od początku ma już w sobie odpowiedź; zdawać sobie z tego sprawę w czasie nauki jest rzeczą podstawową.

① *Jestem Cecilia z Turynu. Dzisiaj całkowicie wywróciłeś sytuację, mówiąc że jesteś pewny bo nie wychodzisz od Boga, ale od rzeczywistości.*

I to ci wywróciło sytuację?

Tak, bo to oznacza, że problemem nie jest, że musimy się zmuszać wobec rzeczy do pokazywania, że...

Brawo! Wreszcie! Widzicie? To nie tak, że musimy się zmuszać, żeby utrzymywać, że Bóg jest. Rozumiesz? Doskonale! Ale?

Ale stanąć wobec oczywistości.

Ale stanąć wobec tego, co jest. Wtedy można odpocząć. To znaczy, to nie my podtrzymujemy Go naszymi wysiłkami (tak jakby Tajemnica potrzebowała nas do utrzymywania, że jest!). Więc zrelaksuj się... Musimy się przez moment zrelaksować: On jest, a nasze wszystkie problemy temu nie przeczą. Jak mówię zawsze żartem: zobaczcie, jak góry się trzęsą wobec naszych wątpliwości, czy są! W ogóle nie drżą! Jesteśmy tak nowocześni, że już siebie przekonaliśmy, że to my stwarzamy rzeczywistość, że jeśli ją podtrzymujemy, to jest, a jeśli nie, to zapada się w nicość. Wreszcie zaczynamy rozumieć, że może jednak jest przeciwnie i wtedy można się zrelaksować.

Tak. To znaczy, w ogóle, z jednej strony to jest bardzo wyzwalające.

Brawo: bardzo wyzwalające.

A z drugiej, wobec relatywizmu świata to jedyna postawa, bo nie bronisz jakiegoś partykularnego punktu widzenia.

Doskonale, doskonale!

Więc moje pytanie dotyczy następnego kroku. Powiedziałeś dzisiaj, że jest pokusa chrześcijaństwa bez Chrystusa. Zauważyłam, że, nie wiem dlaczego, dopóki mam mówić o Tajemnicy, Obecności, towarzystwie, wszystko jest w porządku; a kiedy mam powiedzieć Jezus Chrystus, to tak jakby spadała zasłona zakłopotania, boję się popaść w jakąś wizjonerską duchowość. To mnie dzisiaj zdruzgotało, bo mówiłeś o Nim jak o żywym. Moim pragnieniem jest więc, bym i ja mogła mówić o Nim tak, jak ty.

Zobacz przejście jakiego dokonałaś jeśli chodzi o rzeczywistość i Tajemnicę: najpierw było ci tak samo trudno mówić o Tajemnicy jak o Chrystusie. Już wykonałaś olbrzymi krok. Teraz

trzeba zrobić następny, prawda? Żeby można było powiedzieć, jak powiedziałaś, spokojnie, że On jest, bez zmuszania się do podtrzymywania poglądu, po prostu Go uznać.

Punktem wyjścia jest zawsze rzeczywistość. A jaka rzeczywistość pozwala nam uznać spokojnie Chrystusa? Niezwykłość. Kiedy już zrozumiałaś to, co powiedziałaś, krok do Chrystusa staje się łatwiejszy. Wiesz dlaczego? Bo jest bardziej niezwykły, ponieważ im coś jest piękniejsze, im nadzwyczajniej piękne, tym łatwiej to uznać. A Jezus jest tak niezwykły, tak jedyny, że łatwo można go uznać, jego śladów zupełnie nie da się pomylić, to po prostu On: ze zdolnością do czułości, ze zdolnością do odpowiadania nam, z miłością do wolności, z pasją dla przeznaczenia. Gdzie możesz znaleźć kogoś takiego? Codziennie na ulicy? By być chrześcijaninem trzeba być geniuszem: nie chodzi o jakąś wyjątkową jakość, ale w umieć między wieloma twarzami odkryć twarz tego jednego, imię i nazwisko, nic abstrakcyjnego, imię i nazwisko. Im bardziej to jest wyjątkowe, tym łatwiej to uznać. Rozumiesz dlaczego uczniowie nie mieli problemu z uznaniem Jezusa? Było proste go rozpoznać. Myślisz, że w Jego czasach było wielu takich jak On? Dlaczego nam było łatwo rozpoznać Giussaniego? Wiele było Giussanich? Dlaczego łatwo było rozpoznać wyjątkowość, która nas tu przyprowadziła? Masz wiele takich koleżanek? To jest proste, zupełnie proste.

Zatem, im bardziej to jest niezwykle, tym bardziej człowieka uderza, tym bardziej go porywa, tym bardziej człowiek jest – mówiliśmy dziś rano – pociągnięty. Więc trzeba się zapytać: teraz, kiedy mnie to pociąga, kiedy to się zaczęło w historii? I jeśli nie odpuszczasz tego pytania, w tej prostocie, nie możesz skończyć – zapewniam cię, rzucam ci to wyzwanie – nie dochodząc do wypowiedzenia Jego imienia by wyjaśnić tę niezwykłość. To jest prościuteńkie, nie komplikujmy rzeczy, to jest prościutkie: im bardziej niezwykle, tym prostsze.

Dziś wieczorem zobaczymy to słuchając naszej przyjaciółki Vicky. Kiedy wszyscy ją odrzucali, krewni, sąsiedzi z wioski, wielu było, którzy się do niej zbliżali? Kiedy ona się oddalała, była jakaś, która się zbliżała? A kiedy, jak opowiada, śmierdziała, była jakaś, która zamiast się oddalać, jeszcze bardziej się zbliżała? Wiele takich było? Musiała wykonać wiele wysiłku, by uznać w twarzy Rose niezaprzeczone ślady Chrystusa? Sama nam powie wieczorem. Jest nam trudno z tylko jednego powodu: przez to oderwanie od doświadczenia, które sami powodujemy, bo myślimy, że to jest ahistoryczne. Inni lepiej to widzą, inni którzy wchodzi w relacje z nami. Do tego stopnia, że największą łaską są dla nas ci, którzy przychodzą ostatni, ci, którzy zdumiewają się bardziej niż my, bo my w pewnym momencie uznaliśmy za oczywiste te niezaprzeczone ślady, i myślimy sobie, że spadają z nieba, że to jakaś magia jest. Nie, nie, nie, nie, nie: żadna magia, nic tu nie spadło z nieba. To po prostu łańcuch świadków o konkretnym początku: nazywa się Jezus z Nazaretu.

⌚ *Jestem Guadalupe z Universidad Complutense z Madrytu. Jak to jest, że tak nam trudno używać rozumu zaangażowanego afektywnie? Nie chcę skończyć jak tłum, który opuścił Jezusa. Widzę w tobie rozum podtrzymywany przez uczucie, który aż do głębi wchodzi w rzeczywistość, to znaczy, wypowiadasz imię Chrystusa. Jak to jest, że Jezus powiedział „Czy i wy chcecie odejść?”, a nie „Wierście we mnie”?*

Właśnie po to, by wyzwalać nas do używania rozumu w sposób uczuciowo zaangażowany, ponieważ bez takiego wyzwania zrobilibyśmy tak, jak tłum. A im bardziej to nas uderza, Jego obecność, tym bardziej nas przyciąga, to jest garść kleju, i tym bardziej chcesz się zaangażować.

Popatrzcie, przyjaciele: to nie jest wysiłek zakochać się, to się dzieje przez rozum zaangażowany uczuciowo. Czy to jest skomplikowane? A jeśli potem ze swoją dziewczyną czy chłopakiem, czy z przyjaciółmi, się nie angażujesz, nie może zrozumieć jakim dobrem oni są dla życia. I tak samo jest z Jezusem, ale to jest znacznie większe, przez to, o czym wcześniej mówiłem, bo to jest tak niezwykle, że jest znacznie łatwiejsze. Musimy sobie usunąć z głowy że chrześcijaństwo jest trudne: jest trudne tylko w waszych głowach. Ponieważ im bardziej jest niezwykle, tym łatwiej Go uznać, i dalej – zaangażować się, dać się porwać. To jest abstrakcja, że widzimy chrześcijaństwo poza doświadczeniem. Bo jakie jest nasze normalne doświadczenie? Że rozum angażuje się uczuciowo. I ja się chcę w to zaangażować. Tu wchodzi w grę nasza wolność, nie dlatego, że to jest skomplikowane: angażuję się, bo nie chcę Go stracić, wy róbcie sobie co chcecie, ja się angażuję, bo nie chcę go stracić. Bo uczniowie angażowali się wobec Jezusa nie po to, by Mu zrobić przyjemność, ale dlatego, że nie chcieli Go stracić. Posłuszeństwo tej odpowiedniości, jakiej się doświadczyło, o którym czytaliśmy na Szkole Wspólnoty, bo człowiek nie chce stracić tej relacji, która wypełnia jego życie, jego oczy, jego serce radością. Dlatego się angażuję. Dlaczego? Bo nie mógłbym już wytrzymać życia bez Niego. I to nie znaczy, że nie odczuwam smutku, jak wszyscy, albo nie czuję samotności, ale dla mnie to wszystko jest zasobem a nie trudnością. Dziękuję Mu, że te wszystkie rzeczy, które się wszystkim zdarzają i mnie się zdarzają, że nie jestem inny niż wszyscy. Nie chcę być inny niż wszyscy! Bo gdybym był inny niż wszyscy nie potrzebowałbym Go, nie potrzebowałbym zaangażowania, nie potrzebowałbym zakochania w Nim. Nie chcę być inny, chcę być jak wszyscy, bo Tajemnica tak nas stworzyła i jesteśmy na tyle głupi, że myślimy, że jej nie wyszliśmy. Nie, stworzyła nas świetnie, stworzyła nas tak, by pozwolić nam się do Niej przykleić, ale pozwalamy się przykleić jeśli się pozwalamy uderzyć, jeśli się pozwalamy przyciągnąć, zafascynować Jego obecnością.

I dlatego jestem i zawsze będę wdzięczny księdzu Giussanemu za ten sposób mówienia nam o Chrystusie, za takie wprowadzanie nas w chrześcijaństwo, bo teraz nie byłbym w stanie osądzać albo przeżywać smutku nie pamiętając o Nim. Dlatego kiedy ktoś mi mówi: „Jak ty to

robisz?”, odpowiadam: „Ale jak ty to robisz, że możesz żyć bez Niego? Wyjaśnij mi to! Ja ci to wyjaśniam świetnie, bo to robię”. Zdumiewa mnie, jak możecie żyć nie angażując się. Jak to robicie? Jak jesteście w stanie żyć bez czasu ciszy, jak możecie żyć bez czytania Szkoły wspólnoty, jak możecie żyć nie słysząc Jego głosu? Ja nie mógłbym już żyć, jeśli nie słyszałbym jak On mówi: jak wy dajecie radę? Powiedzcie! Często żyjemy źle, bo nie można być tutaj nie myśląc, nie doświadczając, że tutaj, tutaj, w tej relacji tkwi powodzenie życia. Ja też potem popełniam błędy jak wszyscy, ale to wszystko mnie nie odwodzi, nie myli mnie, nie pozostawia mnie zagubionym. Zawsze wiem, że mi brakuje i czego mi brakuje. Czasem powiem „tak” a czasem „nie”, ale wiem, czego mi brakuje i kiedy jestem smutny, bo mówię „nie”, świetnie wiem, dlaczego jestem smutny, to mnie nie zamyła. Dla tej rzeczy chcę używać mojej energii.

☺ *Jestem Sara z Mediolanu, chciałam zapytać, dlaczego wobec trudności biorę pod uwagę inne kryteria, dlaczego to wszystko, co przeżyłam niezwykłego na początku roku nie przebija się przez trud, jaki przeżywam w pewnych sytuacjach, w których się czuję...*

Ponieważ Pan nie obiecał ci oszczędzenia twojego trudu, rozumiesz, Sara? Jeśli by ci zabrał trud, czemu miałabyś Go potrzebować? Chrystus nam nie obiecał, że nam oszczędzi trudu (powiedzmy to sobie jasno), jak dziś rano mówił list Cristiny.

Nie poddaję w wątpliwość obecności Chrystusa, ale dlaczego więc z Nim nie dotyczy wszystkiego i nie zwycięża w każdych okolicznościach? Czasem boję się, że czegoś mi brakuje. Mówiłeś wcześniej, że to głupie myśleć, że czegoś nam brakuje, ale w pewnych sytuacjach, które się powtarzają, zawsze czuję się pozbawiona sił.

No dobrze, zobaczmy na przykład mamy i dziecka. Dziecko często widzi mamę i przywiązuje się, ale często działa po swojemu. To znaczy, że brakuje mu czegoś od mamy, czy że, żeby dobrze zrozumieć, potrzebuje czasu? To nie tak, że brakuje mu czegoś konkretnego, brakuje mu świadomości, że najcenniejszym dobrem jest relacja z mamą. Jak możesz nauczyć się różnicy między Jezusem a jakąkolwiek inną rzeczą? Co jakiś czas wybierasz coś innego i widzisz, że to nie to samo. Dlatego Jezus nie ma żadnego problemu, mówi ci: „Porównuj Mnie ze wszystkim, Sara, porównuj Mnie ze wszystkim, bo tak zrozumiesz, kim jestem”.

Potrzebujemy czasu i nie musimy się dziwić, że słabość jest słaba, że kruchość jest krucha. Jedno, co ważne, to żebyś wychodziła zawsze od tego, co ci się przydarzyło, ponieważ spotkanie nie jest dla nas końcem, ale początkiem do tego, by wchodzić w każde okoliczności. Mogłaś się pomylić poprzedniego wieczoru, a kiedy rano czujesz się smutna, kto ci wzbrania – jak nas wychowano – wpuścić trochę świeżego powietrza, czułego spojrzenia, wraz ze Zwiastowaniem, gdy odmówisz Anioł Pański? Co ci wzbrania?

Nic.

Więcej, kiedy poprzedniego wieczora pobłądziłaś, lepiej sobie zdajesz sprawę z tego, jaką łaską jest odmawianie Anioła Pańskiego, i tak zaczynasz rozumieć różnicę. Ponieważ bez tej arcyłudzkiej drogi, gdzie się błądzi, gdzie się upada, gdzie potem wpuszcza się to pełne czułości spojrzenie Chrystusa, nie rozumie się, czym jest Chrystus. Pan daje nam czas i przestrzeń, byśmy osiągnęli tę pewność pełną człowieczeństwa (która nie jest żadną magią, żadnym nagłym objawieniem), na podstawie rzeczy realnych, jak dziecko przywiązuje się coraz bardziej do mamy. Myślisz, że dziecko, tyle razy się myląc, na koniec dojdzie do wniosku, że coś jest lepsze od mamy? Dochodzi do takiego wniosku? Nie. Robiąc wszystko, coraz bardziej przywiązuje się do mamy.

Tajemnica nie boi się z naszej wolności, naszych pomyłek. My owszem, natychmiast się płoszymy. On nam daje cały czas świata na to, by Go uznać. To nas interesuje: nauczyć się tego jak najszybciej; On czeka na ciebie aż do chwili, kiedy relacja stanie się więzią, która dotyczy wszystkiego. Ale to jest ludzka wędrówka, arcyłudzka, pełna normalnych życiowych spraw, tak jak ty dotarłaś do pewności o mamie, tam, gdzie wszystko się działo. Dlaczego z Jezusem miałoby być inaczej? Widzimy, że dla apostołów było tak samo.

⊕ *Jestem Ahmad i studiuje w Pavii. Uderzyło mnie to, co powiedziałaś, nawet jeśli niektóre z tych rzeczy słyszałem już od przyjaciół, ponieważ to prawda, że wszystko to, co powiedziałaś, mi odpowiada, to jest prawda, to jest część doświadczenia, jakie przeżywam. Ale nawet przy tej świadomości odpowiedniości, którą opisywałaś, jest mi trudno stosować to w moim życiu. Dlaczego? Dlaczego mnie i innym jest trudno zaakceptować te fakty i tę rzeczywistość, nawet jeśli wiem, że odpowiada mi na sto procent? Jeśli to jest trudne, to czy to znaczy, że siebie nie kocham? Że mój rozum też nie zaangażował się jeszcze uczuciowo?*

Widzicie? Wybrałem to pytanie, żeby wielu z nas mogło rozpoznać ten problem. Te fakty, ta rzeczywistość odpowiada nam na sto procent. To nie tak, że sprawa nie jest dla nas jasna, albo jesteśmy trochę zagubieni. Nie, wiemy, że to nam na sto procent odpowiada. To jest osąd: nikt nie jest taki jak On. My też, dzisiaj, możemy uznać, że nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego. Na sto procent, to nam odpowiada na sto procent! A potem nam trudno. Dlaczego? Bo nawet, jeśli nam odpowiada na sto procent, nie oszczędza się nam osobistego gestu. Nawet jeśli odpowiada na wszystko, czego pragniesz, mogę ci zrobić prezent którym jest Ten, którego pragniesz najbardziej, ale musisz to przynajmniej zaakceptować, prawda? Wydaje ci się to ludzkie?

Tak.

Jezus nam nie chce tego oszczędzać. Ale to nie jest trud. Tyle razy Giussani się denerwował, denerwował się właśnie, kiedy ktoś mu mówił: „Ale jakiej odwagi tu potrzeba!”. Jakiej odwagi tu potrzeba? Tu nie trzeba żadnej odwagi, trzeba tego “tak” i tyle! Widzisz odpowiedniość: jakiej odwagi ci potrzeba? Potrzebna jest tylko jedna rzecz: prostota, albo, jeśli wolicie, uczciwość. To nie jest żaden trud, nie trzeba żadnego wyjątkowego wysiłku: po prostu, trzeba ustąpić tej atrakcyjności Chrystusa, która mi odpowiada, którą uznają jako odpowiadającą mi na sto procent. Ustąpić i uznać Go.

⌚ *Jestem Federica z Mediolanu. Chciałam cię zapytać o ostatni punkt, który dzisiaj poruszyłeś, kiedy mówiłeś o podejrzliwości. Wobec obiekcji cierpienia i bólu to jest rzeczywiście prawda, że możemy doświadczyć takiego samego synostwa, jak Chrystus i reagować na rzeczywistość z takim pozytywnym założeniem. Ale dlaczego wchodzi tu moralizm i nieufność?*

Ale ty kochasz swoją mamę?

Tak.

Bardzo?

Tak.

Jesteś pewna?

Tak.

I możesz sobie wyobrazić, że nie robisz pozytywnych założeń w czymkolwiek, co twoja mama z tobą robi?

Nie.

To samo dotyczy Chrystusa. Jest ci jakoś wyjątkowo trudno?

Nie.

Więc kiedy już się osiągnęło taką pewność co do miłości swojej mamy, nie można przyjmować innych założeń w relacji z nią. Nawet jeśli nie rozumiesz, pytasz: „Mamo, ale dlaczego tak robisz?”, ale musisz wychodzić od pozytywnych założeń.

Jezus miał tak samo: jeśli Jezus był Synem i miał taką relację z Ojcem (mógł być określony przez tę relację synostwa z Ojcem), tak jak ty masz ze swoją mamą, myślisz, że mogła być inna możliwość niż wchodzić w relację z Nim z pozytywnym założeniem? To nie było strasznie skomplikowane, takie odległe od naszego doświadczenia, tak, jakbyśmy nie mieli jak tego zrozumieć. Inna sprawa, że czasem możemy tak postępować, a czasem nie, ale musicie przyznać, że takie podejście jest zrozumiałe. Problem polega na tym, czy osiągnęliśmy ten stopień intensywności, pewności, tak silnej więzi z mamą (jak Jezus z Ojcem), by zawsze przyjmować pozytywne założenie. Dlatego problemem życia jest wzrost tej więzi, którego żadne cierpienie, żaden trud nie może rozerwać, wprowadzając podejrzenie. Wyobraźcie

sobie, świat musiałby się zawalić, żebyście zaczęli być podejrzliwi wobec mamy, prawda? Nawet jeśli świat się zawali, i tak ciągle mówisz „Ale nie moja mama. Musiałaby oszaleć. Żeby zrobić coś takiego mama musiałaby oszaleć, musiałaby przestać być moją mamą, nie tą, którą znam”, prawda? Musiałbyś zaprzeczyć całemu swojemu doświadczeniu, całemu doświadczeniu każdej cząstki twojego życia. Zgadzasz się?

Tak.

Tak samo musiałby zrobić Jezus, by wyjść z innego założenia. Nas to interesuje, bo chcemy być całkowicie rozumni. Dla ciebie jest rozumne wchodzić w relację z twoją mamą? Absolutnie tak. Nie ma innej osoby, wobec której miałabyś więcej racji dla nawiązania więzi niż twoja mama, żadnej innej. A Jezus nie miał z nikim innym takiej relacji, która pozwalałaby spokojniej wchodzić w rzeczywistość, niż z Ojcem.

🕒 *Jestem Cristina z Bolonii. W liście Damiano pisał: „Choroba jest dla mnie”. Nie jestem w stanie tego zrozumieć, sama jestem w bardzo trudnej sytuacji rodzinnej. Dziś rano mówiłeś, że to więź, którą Jezus miał z Ojcem pozwoliła mu stanąć wobec śmierci. Ale wobec tych ciężkich spraw w moim życiu chciałoby mi się powiedzieć: „Wszystko jest przeciwko mnie”. Konkretnie dla ciebie czym jest ta więź?*

Teraz próbowałem to wyjaśnić. Ja też nie jestem w stanie tego pojąć poza tą więzią, ale kiedy ona jest... Jeśli jej brakuje, wtedy nie da się tego pojąć.

Dobrze, ale kiedy ja tam jestem mogę tylko powiedzieć „Wszystko jest przeciwko mnie”.

Dobrze. Dlaczego? Bo brakuje tej więzi.

Ale jak ja mogę być w stanie w życiu...

Świetnie, doskonale. To jest droga, którą mówimy, że trzeba podjąć, prawda? Nie chodzi o to, że jutro masz iść na siłownię i trenować, żeby być twardsza, mieć więcej siły. Nie! Niemowlak nie musi chodzić na siłownię, potrzebuje tylko żyć w relacji, która mu przynosi tę pewność, o której wcześniej mówiłem. Problemem jest czy, przy tym wszystkim, co się dzieje, wzrasta w nas ta więź, czy za każdym razem – jak uczniowie – kiedy żyjemy w relacji z Nim, to jest taka garść kleju.

Jeśli myślisz, że to zrozumiesz poza tą relacją, rozumiem, że to jest niemożliwe; niemożliwe, żeby ktoś zrozumiał, że mogą wydarzyć się rzeczy takie jak te, o których słyszeliśmy. Ale to jest chrześcijaństwo, przyjaciele. Cristina nigdy by nie śniła o tym, że napisze taki list, a Vicky by się nie śniło, że powie coś takiego jak nam powie dziś wieczorem,

jeśli nie przeżyłyby doświadczenia. Chrześcijaństwa nie da się zrozumieć, zanim się nie wydarzy. Dlatego rozumiem, że nie można go pojąć i to znaczy że bardzo często my tylko sobie myślimy o chrześcijaństwie. Myślimy, że możemy nim żyć bez Chrystusa, ale bez Chrystusa nawet nie jesteśmy w stanie go pojąć.

Ale przepraszam cię, mam w Bolonii koło siebie wiele osób, potem wracam tam gdzie są problemy i tam nie daję rady, bo nie ma tych bliskich osób.

To znaczy, że kiedy jesteś z przyjaciółmi, potrzebujesz podjąć swoją osobistą drogę, tak, by to, co przeżywasz z przyjaciółmi stało się twoje.

Tak.

Tak, że kiedy jesteś sama w jakiejś sytuacji, jesteś bardziej określana przez to, co osadziło się w tobie, nawet jeśli nie ma tam twoich przyjaciół, niż przez okoliczności, jakie przeżywasz.

Chcemy by to, czego się uczymy od innego, stało się całkowicie nasze. Dlatego często mówię: nie możemy marzyć, że to się stanie nasze bez nas. Grzejąc krzesło na zajęciach nie nauczysz się matematyki; a jeśli tutaj grzejesz krzesło, te kryteria nie staną się twoje. Rozumiecie dlaczego nie możemy sobie oszczędzić tej pracy?

A to jest zawsze możliwe?

Absolutnie tak. Kto ci broni? Jutro, kiedy wrócisz, możesz nadal mieć taką relację z przyjaciółmi z Bolonii i możesz próbować żyć tym coraz bardziej i doświadczać osobiście. I pewnego dnia, moja kochana, znajdziesz to, zaskoczona. Co tu jest zaskakującego? Że pójdziesz na spotkanie jakimś okolicznościom i będziesz się czuć wolna, nie determinowana przez te okoliczności, ale przez to, co się tobie wydarzyło. I mam nadzieję, że napiszesz mi o tym, kiedy się to wydarzy. To jest chrześcijaństwo: nie wynik twoich wysiłków, ale niespodzianka, że to, co zaczęło być twoją drogą staje się tak bardzo twoje, że w pewnym momencie stajesz zaskoczona, że zaczynasz żyć w tych okolicznościach, w których to było wcześniej niemożliwe, z tą nowością, którą masz w sobie, bo ona się stanie twoja. I tym zajmujemy się jutro.

To jest przyjaźń w której, w pewnym momencie, to co mówi ci drugi staje się do tego stopnia twoje, że nie możesz już bez tego żyć. To cię definiuje, już nie zależysz od tego, kto to mówi, bo to jest twoje i możesz wchodzić w jakiekolwiek okoliczności – jak mówi ksiądz Giussani – z głębokim spokojem i zdolnością do radości.

⌚ Jestem Matteo z nauk politycznych z Uniwersytetu Katolickiego. Wczoraj wieczorem powiedziałeś: jesteśmy przyjaciółmi jeśli jesteśmy razem by móc patrzeć na te rzeczy, inaczej jesteśmy razem, ale najbardziej decydujące sprawy przeżywamy samotnie. A potem dziś rano, ciągle mówiąc o przyjaźni, o Jezusie, który pytał uczniów „I wy chcecie odejść?” mówiłeś: naprawdę był ich przyjacielem, bo rzucił im wyzwanie, to znaczy chciał, by podjęli pracę wychodząc od tego przeżytego doświadczenia.

Te dwie rzeczy bardzo mnie poruszyły, właśnie dlatego, że od jakiegoś czasu ten problem przyjaźni, relacji z moimi przyjaciółmi, zaczyna cisnąć, zaczyna być po prostu palący, i dlatego, widząc, że jest trudność, chciałem zapytać cię: w codzienności, konkretnie, jak możemy sobie pomagać w pogłębianiu tej więzi z Chrystusem? Bo jest dla mnie jasne, że po to jesteśmy przyjaciółmi, to znaczy jesteśmy przyjaciółmi, bo pozwala nam się spotkać Ktoś inny.

Matteo, zacząłeś dostrzegać zmianę w rozumieniu przyjaźni?

Tak.

To już jest pierwszy krok: to, co było powiedziane dziś rano musi się stać osądem nad tym, jak żyjemy, nad naszym rozumieniem przyjaźni (bo bardzo często nasze rozumienie przyjaźni to jest raczej współdziałanie niż przyjaźń). Według naszych miar to, co Jezus zrobił dziś rano wobec nas z uczniami to nie jest przyjaźń. A jednak to nie prawda. Jezus jest przyjacielem, ponieważ ma na sercu przeznaczenie, dobro innych, i ponieważ nas nie oszukuje (jak my często robimy między nami, oszukujemy się), więc nie ustępuje, nie tonuje, nie redukuje potrzeby.

Jeśli się utożsamiasz z taką relacją, jaką Jezus ma z uczniami, w przyjaźni jaką miał Jezus z uczniami zaczynasz rozumieć, czym jest przyjaźń między nami, bycie przyjaciółmi, to znaczy nie współnikami. A jak możesz być przyjacielem, a nie współnikiem? Żyjąc całą twoją ludzką potrzebą. Co robi Jezus? Nie ustępuje przed zmniejszaniem przyjaźni. Jezus mówi: „Słuchajcie, jeśli chcecie żyć, musicie to jeść. Nie rozumiecie? Wy też chcecie odejść?”. Albo kiedy mówi: „Słuchajcie, musimy iść do Jerozolimy, bo muszę umrzeć”. „Ależ skąd!”, mówi Piotr. „Odejdź ode mnie, Piotrze!”. Nie ustępuje. To jest przyjaciel, człowiek, który uczciwie podchodzi do swojej potrzeby ludzkiej pełni, którą w sobie ma. I to jest służba, to jest przyjaźń z przyjacielem. Bo jeśli patrzysz na niego w świetle jego przeznaczenia, nie możesz pragnąć niczego innego, niż działać jak Jezus; a jeśli ktoś patrzy na ciebie przez pryzmat twojego przeznaczenia, nie może pragnąć niczego innego niż działać jak Jezus – to jest przyjaźń. Poza tym są tylko głupoty, kryjące się pod uświęconą nazwą przyjaźni.

Ale my zawsze mówiliśmy sobie, że przyjaźń jest towarzyszeniem do przeznaczenia. Jesteśmy przyjaciółmi, jeśli idziemy w stronę przeznaczenia. Inaczej – uwaga – nasze przyjaźnie nie będą trwać, ponieważ w imię jakiejś przyjaźni sentymentalnej, w gruncie rzeczy wspólniczej (jak zdarza się często na przykład w parach, w związkach), co się dzieje? Że to nie

trzyma, z czasem przestaje być interesujące, ponieważ jest zbudowane na wspólnictwie dwojga, a nie na prawdziwej przyjaźni.

Dlatego nie możemy skończyć tej Szkoły wspólnoty nie mówiąc: ale jak się nam zmieniło rozumienie przyjaźni, w sposobie w jaki jesteśmy razem? Ponieważ właśnie to zawsze mówił ksiądz Giussani: to, co bardzo często nazywamy przyjaźnią, w ogóle mnie nie interesuje. Wyobraźcie sobie, co by powiedział Jezus: nie sądzę, żeby to się bardzo różniło od tego, co powiedział Giussani. Znać to rozumieć oznacza zacząć rozumieć, co znaczy kochać się naprawdę, być przyjaciółmi, mieć na sercu nie jakieś bycie razem, ale dobro innego, przeznaczenie, pełnię innego, pełnię, która oznacza osiągnięcie satysfakcji serca (a to nie my decydujemy, co je spełnia). My to znaleźliśmy, możemy tym żyć albo nie, i to jest przyjaźń: jeśli tak kocham siebie, będę przyjacielem innych, ponieważ nie będę chciał dla przyjaciół niczego innego niż to. A jeśli się zadowolę, będę szukał przyjaciół, którzy się zadowolają. Bóg ich stwarza i ich łączy.

Synteza Juliàn Carròn

7 grudnia, rano

Chrześcijaństwo jest wydarzeniem i trwa jako rozprzestrzenianie się tego wydarzenia w historii; stało się obecne wśród ludzi poprzez człowieczeństwo człowieka, Jezusa, i pozostaje obecne w historii poprzez człowieczeństwo przemienione przez spotkanie z Jezusem.

Skąd wiemy, że On jest obecny między nami? Z odmiennego człowieczeństwa, jakie przynosi. Dlatego ksiądz Giussani mówił wiele lat temu: „Wydarzenie Chrystusa uobecnia się „teraz” w zjawisku odmiennego człowieczeństwa”¹⁹. Chrześcijaństwo to zderzenie z tą ludzką odmiennością, gdzie zaskakuje cię nowe przeczucie życia, czegoś, co pozwala bardziej oczekiwać pewności, nadziei, użyteczności w życiu. Wszyscy, którzy tu jesteśmy, możemy to potwierdzić: Chrystus zainteresował nas, bo dzisiaj, obecnie, znaleźliśmy inny sposób przeżywania życia, i nie mogliśmy nie odczuć ciekawości, bo uznaliśmy to za korzystne dla naszego życia.

„Poruszyły mnie głęboko, gdy znalazłam się na uniwersytecie – pisze jedna z was – osoby, które tam spotkałam. Na czym polegała różnica? Na tym, jak brali poważnie każdy aspekt życia, jak cieszyli się z każdej chwili, jak czułam się traktowana, chociaż co dopiero się poznaliśmy [wszystko tak się zaczyna]. Pomyślałam, że ja też chcę być taka, jak oni i zaczęłam

¹⁹ L. Giussani, «Qualcosa che viene prima», in *Tracce-Litterae Communionis*, n. XXXV/10, novembre 2008.

się do nich przyłączać by spróbować zrozumieć, jak żyją, by nauczyć się tak żyć”. To jest początek, coś, co mam przed sobą, co wzbudza we mnie pragnienie przyłączenia się, „zaczęłam się do nich przyłączać”. Po co? „By zrozumieć, jak żyją i by nauczyć się tak żyć. Jestem pewna, że ta przyjaźń jest dla mnie dobra. Dlaczego? Patrząc na to, że nie odciąga mnie od nauki i od rzeczy, do robienia których jestem wezwana, wręcz odwrotnie, skłania mnie do podejmowania moich obowiązków”. Znakiem jest, że to, co spotkaliśmy, nam służy, jest nam użyteczne w życiu, w przeżywaniu rzeczywistości, w przeżywaniu tego, z czym musimy się mierzyć każdego dnia, okoliczności, trudności, cierpienia, którym musimy w każdej chwili patrzeć w twarz. „Bycie z moimi przyjaciółmi jest tym piękniejsze i prawdziwe, im poważniej podejmuję obowiązki [nie jesteśmy tu, by sobie tego oszczędzać, inaczej nie bylibyśmy przyjaciółmi], zagłębiając się w naukę i okoliczności życia. Ta przyjaźń nigdy nie pozostawia mnie w spokoju, zawsze mnie prowokuje, w najmniej oczekiwanych momentach, to jest ciągle wezwanie do mojego przeznaczenia, do znaczenia wszystkich rzeczy i zdaję sobie coraz bardziej sprawę, że wszystko się dzieje dla jakiejś racji i jedynym sposobem poznania, czego chce ode mnie Pan jest życie rzeczywistością”.

To jest właśnie tak, jak czytaliśmy na Szkole wspólnoty. Znajdujesz coś, co ci odpowiada i posłuszeństwo jest po to, by nie stracić tego, co ci się zdarzyło. Spotykam kogoś, kogo mam przed sobą i przyłączam się, by nauczyć się tak żyć. Dlatego prawdziwe posłuszeństwo to przyjaźń, i dlatego należy mieć kogoś przed sobą, bo tak możesz zrozumieć jego kroki i możesz go naśladować tak, by stały się twoje; inaczej zaczynamy gubić drogę.

Pisze do mnie ktoś inny: „Od wielkanocnych rekolekcji pojawiła się w moim życiu nowa konieczność, «i to jest oznaka prawdziwości, autentyczności albo nie naszej wiary: czy oczekujemy wszystkiego od zdarzenia Chrystusa, czy z wydarzenia Chrystusa oczekujemy tego, czego chcemy oczekiwać, ostatecznie czyniąc Go pretekstem podtrzymującym nasze programy, nasze projekty». Wobec takiej prowokacji zobaczyłam, o czym sama zdecydowałam, że będzie treścią mojego życia. Sama o tym zdecydowałam. Bardzo jestem zaangażowana w ruch. Kiedy poczułam się wezwana do postawy radykalnej, wobec doświadczenia, które było moim udziałem, okazało się, że nigdy nie postawiłam sobie problemu oczekiwania wszystkiego od wydarzenia Chrystusa. Nagle więc rzucone wyzwanie, by wrócić do doświadczenia, odpowiadało mi znacznie bardziej niż jakakolwiek postawa czy wywód, którego do tej pory broniłam, ponieważ wypływało z mojego całkowitego pragnienia. Ponieważ, szczerze mówiąc, nie wystarczało już wyciągać Chrystusa z kieszeni, używać Go jak pieczętki do obrony tego, co w tym momencie wydawało mi się najistotniejszą rzeczą, i przede wszystkim za każdym razem mieć wątpliwości, czy mojemu życiu nie grozi obranie nieprzewidzianego kierunku: tak naprawdę wcale Go nie znałam. Było dla mnie proste mówić o Nim, wypełniać sobie usta Jego imieniem, tak proste jak i bolesne. To jest ból zdać sobie sprawę z pustki, jaka za tym stoi i, niezależnie od tego, jak spójny jest wywód, nie zastępuje

nigdy żywego doświadczenia. Narodziła się we mnie potrzeba, powiedziałabym, fizjologiczna, poznać naprawdę po raz pierwszy tego Jezusa, któremu chciałam oddać życie. Ryzyko, przed jakim wciąż stoję to bronienie jednej strony i mówienie «Chrystus jest, bo zrozumiałam», taka obrona wywołuje zmęczenie”.

Jak widzicie, to, co zaczęło się jako doświadczenie w spotkaniu z odmiennym człowieczeństwem, z ludzką odmiernością, jaka nas porwała, w momencie nieuwagi zostaje zredukowane do wywodu, który nie zastępuje nigdy żywego doświadczenia. Jak mówił mi pewien przyjaciel: tyle razy redukuje się do wywodu, który później próbuje się stosować, a po niedługim czasie wszystko się wali”.

To, jak widzicie, jest podstawowy problem w kontynuowaniu naszej drogi, ponieważ znajdujemy się wobec decydującej kwestii, której, dzięki Bogu, ksiądz Giussani spojrzał w twarz już wiele lat temu. Dlatego kazałem opublikować w *Tracce* „Coś, co przychodzi wcześniej”, ponieważ ksiądz Giussani poprawia ruch w kontekście tego ryzyka jakie teraz widzimy też między sobą. Jakie to ryzyko? Że myślimy, że jest jedna metoda na początek (wobec ludzkiej odmierności), a potem inna metoda do kontynuacji. By zacząć, potrzeba spotkania z tą ludzką odmiernością, potem próbujemy wypracować wywód; i tak znajdujemy w naszych rękach – jak zobaczyliśmy – pustkę.

Dlatego interesuje mnie, byśmy dobrze zrozumieli chrześcijaństwo, bo to jest najbardziej decydująca sprawa, i generalne ryzyko, które może zdarzyć się w Kościele: można uznać, że chrześcijaństwo było wydarzeniem w historii, ale to tak, jakby wydarzenie coraz bardziej oddalało się w przeszłości, a jaka jest jedyna rzecz, która z tego zostaje? Zaświadczenie o tym wydarzeniu, nazywa się Biblia. Dla nas ruch może być czymś takim, wydarzeniem, z którego pozostaje tylko jakiś wywód, którego mam się nauczyć i stosować. Po drodze zgubiliśmy ciało: Tajemnica stała się ciałem by przyciągnąć – jak wczoraj mówiliśmy – cały nasz rozum i uczucie, to się staje znowu abstrakcyjne, nie jest w stanie nas porwać. A chrześcijaństwo, jeśli chce pozostać sobą, jeśli chce być spójne ze sposobem, w jaki powstało, musi pozostać cielesne.

Dlatego ksiądz Giussani w tym tekście mówi nam coś decydującego, co naprawdę musimy zrozumieć. Zderzenie osoby z ludzką odmiernością jest czymś bardzo prostym (jak próbowaliśmy zaświadczyć wczoraj), całkowicie podstawowym, co przychodzi przed czymkolwiek innym, „co nie potrzebuje być wyjaśniane, ale tylko *zobaczone*, przyjęte, musi wzbudzić zdumienie, rozpaścić uczucie, stanowić wezwanie [spójrzcie na ten przepiękny opis, pełny cielesności życia], porusza do podążania dzięki temu, że odpowiada na strukturalną potrzebę serca”²⁰. „Wydarzenie Chrystusa uobecnia się «teraz» w zjawisku odmiennego człowieczeństwa: człowiek zderza się z nią i zaskakuje go nowe przecucie życia, czegoś, co pozwala bardziej oczekiwać pewności, nadziei, użyteczności w życiu i każe mu za tym

²⁰ *Ivi.*

podążać. Jezus Chrystus [patrzcie na ciągłość!], ten człowiek sprzed dwóch tysięcy lat, kryje się, uobecnia, pod zasłoną, za obliczem odmiennego człowieczeństwa. Spotkanie, zderzenie z tym odmiennym człowieczeństwem, właśnie ono nas uderza bo odpowiada na strukturalne potrzeby serca bardziej niż jakakolwiek forma naszej myśli czy wyobraźni: nie spodziewaliśmy się tego, nigdy byśmy o tym nie śnili, to było niemożliwe, tego nie da się znaleźć nigdzie indziej”²¹. To jest wyzwanie dla każdego z nas. Zobaczcie: ten sposób uderza, odpowiada na potrzeby serca bardziej niż jakakolwiek forma naszej myśli czy wyobraźni. Każdy musi to sprawdzić: prawda to czy nie? Bo inaczej pozostaje się bez racji do tego, by pozostać przywiązany do tej odmienności.

I kontynuuje (uwaga, bo tu sprawa jest decydująca): „Zderzenie z obecnością odmiennego człowieczeństwa *przychodzi wcześniej* nie tylko na początku, ale w każdym momencie, który po początku następuje [w każdym momencie który następuje po początku!]; rok, czy dwadzieścia lat później. Początkowy fenomen – zdarzenie z ludzką odmiennością, zdumienie, które się z niego rodzi – ma być *początkowym i źródłowym fenomenem każdego momentu rozwoju*. Ponieważ nie ma żadnego rozwoju jeśli się nie powtarza to początkowe zderzenie”²², ponieważ jeśli to początkowe zdarzenie się nie powtarza, nie idziemy naprzód, po prostu powtarzamy, po prostu próbujemy interpretować to, co poczuliśmy, ale nie ma rozwoju. Ciągłym przykładem są losy narodu żydowskiego: od kiedy jego treścią stał się tylko ustalony kanon przeszłości, pozostaje interpretacja, nie ma już rozwoju, ale tylko próba lepszej interpretacji wywodu z przeszłości. Możemy tak robić i tak z czasem ruch przestanie nas interesować, ponieważ zwyczajny nihilizm: nie ma wydarzeń ale tylko interpretacje.

To jest towarzystwo, jakiego wciąż dotrzymuje nam ksiądz Giussani, ponieważ nikt z nas nie byłby w stanie powiedzieć rzeczy tak bardzo dotyczącej potrzeby, jaką w tej chwili odczuwamy. Źródłowym czynnikiem jest ciągle zderzenie z odmiennym człowieczeństwem. Nie to, że w pewnym momencie mogę powiedzieć: „Zrozumiałem. Teraz już umiem sam działać”, jakbym nie potrzebował zderzać się z odmiennym człowieczeństwem. I dlatego potwierdza: jakie to wyzwolenie! Jakie wyzwolenie, jaki oddech dla życia! Jeśli więc nie zdarza się od nowa, nie odnawia się, nie ma prawdziwej ciągłości. A więc to nie chodzi o to, że ja muszę być porządniejszy; dziecko nie musi być porządniejsze, nie, ale musi uznać, że ciągle potrzebuje mamy, że ciągle potrzebuje zetknięcia z czymś, co będzie wciąż budzić jego serce, ciekawość, uczucie. Jeśli ktoś nie żyje w tej chwili zderzeniem z nową ludzką rzeczywistością, nie rozumie tego, co zdarzyło mu się w przeszłości. Tylko jeśli wydarzenie się powtarza, objaśnia się i pogłębia zdarzenie początkowe i tak ustanawia się ciągłość, rozwój.

²¹ *Ivi.*

²² *Ivi.*

I dlatego po wierze, po spotkaniu i doświadczeniu satysfakcji z wolności, czytaliśmy w Szkole Wspólnoty o posłuszeństwie, które jest przyłączeniem się, podążaniem za tym obecnym człowieczeństwem, tym obecnym odmiennym człowieczeństwem.

Jeden z was mówi: „Wobec świadków, u których widać przebudzone serce, głębsze pytania obudzone i żywe, niezwykle smak życia, nie mogę powiedzieć, że jestem w porządku, nie byłbym uczciwy ze sobą samym, gdybym nie powiedział, że i dla mnie pragnę doświadczenia, jakim oni żyją”. To nie tak, że robimy przyjemność Jezusowi, to człowiek znajduje się wobec czegoś, czego pragnie również dla siebie. „I tak, wiele razy, to, że miałem przed sobą takich ludzi pomagało mi rozpoznawać, że ten niezwykle fakt jest również dla mnie, nawet jeśli tysiąc razy zdradzałem, i bez tego widziałbym siebie jako znacznie bardziej miałkiego niż jestem teraz, zredukowanego do reakcji i interpretacji. Moją słabością jest pewien dystans do tych świadków, albo lepiej, do tego, co niosą. Tak jakbym gonił coś, co nie jest tak naprawdę moje, i nużył się tą poprawnością w uznawaniu moich błędów i redukcji mojego serca. Więc o co jestem proszony?”. Jesteś proszony, kochany przyjacielu Pietro, tylko o jedną rzecz: prostotę w podążaniu. Nie przejmuj się, nie pozwól się zatrzymać przez błędy. Jak dziecko nie zatrzymuje się wobec błędu, który popełnia, wobec swoich upadków, jest znowu przyciągane przez obecność mamy.

Bądź jak nasza przyjaciółka Matilde, która uczy się nawet od swojego młodszego brata. Mówi: „Chcę opowiedzieć ci zdarzenie, w jakim po raz kolejny obecność Chrystusa stała się mi współczesną, i zaczynam od sytuacji z Pagina Uno z *Tracce* z listopada, bo tak jak jest tam napisane stało się dla mnie: to zdarzenie się osoby z ludzką odmiennością jest czymś bardzo prostym, absolutnie podstawowym, co przychodzi wcześniej niż cokolwiek innego, przed każdą katechezą, refleksją czy rozwojem, to jest coś, co nie musi być wyjaśniane, tylko zobaczone, dostrzeżone, staje się wezwaniem, porusza do podążania przez samo to, jak odpowiada na strukturalną potrzebę serca. To dziwne, ale stało się właśnie tak, w sposób jak najbardziej prosty i niespodziewany, bo naprawdę obok mnie. W tym roku mój brat Giuseppe zaczął studiować na uniwersytecie i niespodziewanie coś się zmieniło. Zawsze miałam z nim dobrą relację, ale nigdy tak jak teraz nie czułam się towarzyszką jego życia. Zdarza się rzeczywiście, że wieczorami w domu, kiedy zbliża się przygotowanie kolacji, siadamy i on niepytany zaczyna opowiadać o wszystkim, co zdarzyło się w czasie dnia na uniwersytecie, ze sposobu w jaki opowiada te rzeczy wydają się zaskakujące, ale przede wszystkim wydaje się że przynoszą mu godną pozazdroszczenia pełnię, właśnie jemu, którego znam przez całe życie, a wydaje mi się, jakbym spotkała go po raz pierwszy, bo jest z dnia na dzień odnawiany doświadczeniem, które go czyni żywym i nowym. Tyle razy zdarza mi się zatrzymywać wobec tego zdumienia i nawet pragnąć go też dla mnie, ale potem, kiedy wracam do rutyny dnia, wszystko staje się znów takie samo i płaskie”. Widzicie? To nie tak, że Pan zostawia nas samych na drodze, ale jeśli pozostajemy odlegli, jeśli nie idziemy z prostotą za sposobem,

w jaki on czyni się nam współczesnym, który być może był ostatnim, jakiego się spodziewałem, wszystko staje się znów takie samo i płaskie. „Ale każdego wieczora kiedy z nim jestem, powraca uporczywie podejrzenie, że on przeżywa swoje dni lepiej niż ja. Z czasem to podejrzenie staje się nienawistne: jak to jest, że on, taki głupi jaki jest, jest bardziej zadowolony, niż ja?”. To jest dramat. Pan może użyć nawet głupiego, jak zawsze robi, zawsze używa głupców. I dlatego nie mamy już czasu, trzeba podjąć decyzję: „Nie mogę już stać i patrzeć, chcę, żeby to doświadczenie było i moje”. To jest konieczność, jaka powstaje: chcę, żeby to było moje! Może stać tu i patrzeć, dokonywać interpretacji, mówić, że to głupek, albo może zwyciężyć ta ostateczna miłość do siebie: chcę, żeby to się stało moje. „I co robię? Idę za nim i, jaki jest on, i ja taka jestem na uniwersytecie”. To jest proste: „Czytam *Tracce*, robię Szkołę wspólnoty, dowiaduję się o Eluanę, czytam gazety, rozmawiam o nich z przyjaciółmi i kolegami, a potem idziemy rozdawać ulotki”. To, co robi ten, kogo mam przed sobą, tego i ja się uczę. „Tyle rzeczy, może zbyt wiele, ale nie z powodu aktywizmu, ale ponieważ powolutku, robiąc to, odkrywam, że to jest dla mnie. Jedyny sposób, by powtórzył się początkowy, źródłowy fenomen, który wtedy mnie porwał, i który porywa mnie dziś czyniąc mnie nową”. Zobaczcie, ostatnia rzecz, o jakiej by pomyślała: że On staje się współczesny w taki sposób.

Dlatego, jak mówi ona, ten początek musi się powtarzać, ale ksiądz Giussani mówi: nie „tak, jak” zdarzyło się na początku, nie w ten sam sposób, na którym tyle razy się fiksuję (że musi się zdarzyć z tą twarzą, z tymi konkretnymi osobami, w ten sposób), nie „tak, jak” zdarzyło się na początku, ale „to, co” się zdarzyło na początku, to samo identyczne doświadczenie poprzez inną twarz, tak samo cielesną, może z osobą, której nigdy byś sobie nie wyobrażał. Ponieważ jeśli to by się nie działo w ten sposób, chrześcijaństwo nie byłoby możliwe, Chrystus byłby mitem, nie byłoby historycznej rzeczywistości. To jest „to, co” się stało im i dzieje się, w inny sposób, mnie teraz; to jest to, co zdarzyło się na początku, mnie teraz może się zdarzyć w inny sposób. Zderzenie z ludzką odmiennością, w tym samym wydarzeniu, które poruszyło ich na początku, odnawia się. Dlatego ciągłość z tamtym czasem – dla tej naszej przyjaciółki – z tym początkowym momentem spotkania z Ruchem, z Chrystusem, ciągłość z tamtym umacnia się tylko przez powtarzanie się tego wydarzenia teraz. Dlatego, nie ma jednej metody na początek i innej dla kontynuacji; to nie tak, że teraz zrozumieliśmy, a potem tłumaczymy to innym albo stosujemy, bo to na koniec oznacza, że jesteśmy zarozumiałcami, że już nie zdajemy sobie sprawy, że zawsze potrzebujemy, by dać się porwać, by powtórzyło się „to, co” nas porwało. Dlatego wszystko jest łaską. Początkowe wydarzenie trwa, idzie naprzód, tylko jeśli wciąż wychodzi się ze zderzenia z nową ludzką rzeczywistością.

Chrześcijaństwo jest posłuszeństwem tej nowej ludzkiej rzeczywistości, pójdziem za obecnością, którą mam przed sobą, i możemy kontynuować to, co rozpoczęliśmy

i kontynuowaliśmy w tych dniach tylko jeśli pozostaniemy w tej przyjaźni, ponieważ posłuszeństwo jest tą przyjaźnią.

Pisze mi Matteo: „Ten okres był najintensywniejszym czasem mojego życia z powodu wszystkich porażek na uniwersytecie i wyborów do samorządu, które odbyły się w tym tygodniu. Przez październik i listopad uczyłem się bardzo mało i oddałem się przygotowaniu wyborów. Wieczorem przed dniem głosowania byłem bardzo zmęczony myśleniem o tym, co mnie czekało. To faktycznie prawda, co mówiła Rose, że działanie mężczy: żyłem tą rzeczywistością wyborów jak ciężarem, który muszę znosić, jak czasem, który im szybciej się skończy tym lepiej, ale myślałem że ta postawa jest nieludzka, ponieważ to nieludzkie przeżywać coś myśląc tylko, by jak najszybciej się skończyło. Aż jeden z przyjaciół powiedział mi: „Ale to nie jest nieludzka postawa, to jest rzecz, która cię przerasta, to tak, jakby Jezus ci mówił: zobacz, Matteo, jeśli nie jestem obecny, dusisz się”. Uderzyło mnie to przede wszystkim bo to prawda, że bez uznania Jego obecności ostatecznie się duszę, może i robię wszystko, co trzeba, ale ostatecznie nie jestem usatysfakcjonowany. A poza tym zdumiało mnie jak ten przyjaciel ocenił moje serce, moje pragnienie, fakt, że jestem potrzebujący [tacy jesteśmy, to nie tak, że po spotkaniu przestajemy być potrzebujący, jak często marzymy]: dla mnie to była nieludzka postawa, on pozostawał entuzjastyczny. I tak inne epizody, może malutkie, jak na przykład przyjaciółka, która napisała mi liścik: „Cóż znaczy dla człowieka zdobyć cały świat, jeśli potem straci samego siebie?”. Jeszcze inny przyjaciel, rano pierwszego dnia głosowania, napisał mi sms: „Proszę dla ciebie i dla mnie, by serce pozostawało gotowe na spotkanie z Nim w tych gorących od wyborów dniach” i w ciągu dnia dwa razy przysłał jeszcze to: „Pamiętaj, Matteo, *quaerere Deum*. Reszta to głupoty”.

Krótko mówiąc, opowiadałam o tych epizodach, bo bardzo uderzyło mnie zdanie ze Szkoły wspólnoty: „Dynamizm wolności by przyłgnąć do wiary zna drogę, wie, gdzie iść, ale nie wie jak. Dlatego Tajemnica mówi ci, co masz robić, mówi ci przez towarzystwo w jakim cię stawia” i pomyślałam: ostatecznie, mam serce, rzeczywistość jest, czego więcej mi trzeba? I zdałam sobie sprawę, przy tym wszystkim, co opowiedziałem, że potrzebuję przyjaźni, to znaczy tych twarzy, które przypominają mi i naciskają zawsze na pamięć o tym, z czego jestem zrobiony. To jest nacisk może i dyskretny jak liścik albo sms, ale jest ciągły, nieugięty. Przyjaciel to ten, kto przyzywa mnie do Tego, dla czego stworzone jest moje serce. I robi na mnie wielkie wrażenie ta przyjaźń, bo nie jest sentymentalna, jest osądem, jest osądem. Powiedzieć „to jest mój przyjaciel” zaczyna dla mnie oznaczać osąd, który może być nawet pozbawiony emocjonalnego i sentymentalnego ładunku. Jeśli przyjacielem jest ten, kto mnie przyzywa do prawdy o mnie, to im bardziej idę za tymi przyjaciółmi, tym bardziej idę za sobą samym. Zaczynam rozumieć to, co mówił ksiądz Giussani, że przyjaźń to nie jedna z rzeczy do wyboru, bo jest dla mnie absolutnie decydująca, nie mogę pozbawić się kogoś, kto mówi mi,

kim jestem, z czego jestem zrobiony". I jeśli ma się takich przyjaciół, wszystko, co przyjaciele ci mówią, zaczyna stawać się twoje, jak wcześniej mówiliśmy.

Dlatego rozdział o posłuszeństwie kończy się mówiąc o tej przyjaźni, bo kiedy staje się to tak znajome, „ostateczną formą posłuszeństwa jest pójście za odkryciem samego siebie dokonany w świetle słów i przykładu drugiej osoby, bez której szukało się po omacku w ciemnościach”²³. To spojrzenie, ten sposób poruszania się, ten sposób pojmowania samego siebie, patrzenia na rzeczywistość, postawy wobec rzeczywistości, staje się moje. I dlatego, kiedy ktoś mówi mi, jak to robi, że tak żyje, mówię: „Dziękuję, że mi to powiedziałeś. Dziękuję, że mi to mówisz” i to staje się twoje i musisz iść za sobą samym uderzonym przez tego innego.

Życie jest proste. Dlatego powtarzaliśmy tyle razy zdanie: „I dlaczego drżeć, skoro tak prosto być posłusznym?”²⁴. Życie jest proste, bo Tajemnica, właśnie przez tę czułość do nas, stała się ciałem, wciąż przyjmuje nasze ciało, by stawać się nam współczesną, by ciągle stawiać nas wobec ludzkiej odmienności, za którą należy iść. To jest nadzieja.

Wczoraj, przy kolacyjnej pogawędce z kilkorgiem z was, ktoś powiedział: „Pragnę wrócić do domu, by opowiedzieć rodzinie, co widziałem, żeby to się mogło stać nadzieją również dla mojej mamy”. Uderzyło mnie to, bo kiedy żyjemy według tego, co przekazał nam ksiądz Giussani, ta wiara, którą widać po satysfakcji, a która później staje się posłuszeństwem, przyjaźnią, bez redukcji jej do moralizmu, każe nam mówić: to jest nasza nadzieja; tak, jakby już zapowiadało się następny rozdział Szkoły wspólnoty o nadziei. Widzicie, że ksiądz Giussani nie zestawiał przypadkowo słów jednego po drugim: to jest po prostu opis tego, co widzi, wyłaniające się z wnętrza doświadczenia, i kiedy ma się to przed sobą, można stawić czoła życiu, można stawić czoła przyszłości z nadzieją.

Właśnie to świętujemy w Boże Narodzenie, to wydarzenie, które wzbudza w nas nadzieję. Jesteśmy przyjaciółmi, Pan pozwolił nam się spotkać, przyciągnął nas wszystkich tutaj właśnie dla tej relacji, jakiej pragnie z nami, by przyprowadzić nas do pełni życia, intensywności nie do znalezienia gdzie indziej.

²³ L. Giussani, *Si può vivere così?*, op. cit., p. 149.

²⁴ P. Claudel, *L'Annuncio a Maria*, Bur, Milano 2001, p. 179.